

1-31



IV/10110

niesamo-
witość

sensa-
cja ●

KONTAKTY



chcesz wdzię-
żności przy-
ciół i znajo-
wych — kup im
as numer z
reszczykiem!

W noworocznym darze — wszystko
po raz pierwszy, dotąd nie publi-
kowane, stworzone specjalnie dla
naszych czytelników — zaplatające
dech opowiadania i szokujące ry-
sunki. Zanim przeczytasz weź na
spokój!

DWIE PIERWSZE NAGRODY W KONKURSIE LITERACKIM

1
116)

KONTAKTY
2183
CENA
10 ZŁ

MAREK OBARSKI

barania mogila

OLEŃCE

mgłą, moroszkowym jarze nad grzą-
skim brzegiem Jeziora Zamieć. Rok-
rocznie o zaduszkowym zmierzchu,
gdy bagno poczyna dymić niby koń-
skie chrapy i na pustaci wśród mo-
czarów rozlega się beczenie czarno-
sierstnego barana, przywołującego
na cmentarz śmiertelnie wyleknie-
ne owce z okolicznych owczarni,
skuleni wieśniacy wypędzają białe-
runie zwierzęta z obórek i gnają na
stary żalnik, by pokrył je czarny
tryk, który wychodzi tego dnia z
zapadniętego grobu pod spróchnia-
łym dębem. Miejsce to — strątowa-
ne kopytami i raciczkami przerażo-
nej trzódki, okłete przez skrzydli-
cę — zwą Baranią Mogiłą.

Niegdyś pogrzebano tu — zamiast
ciała proboszcza — zarżniętego po
kryjomu barana, którego przekupio-
ny wikary, chciwy czelczyzna zeszpe-
cony wolem, przyodział w czarną
proboszczową sutannę i zagwoździł
w dębowej trumnie. Nie bacząc, że
popelnia śmiertelny grzech i skazuje
swą lichą duszę na wieczne potę-
pienie, zmówił nad grobem pogrze-
banego tryka grzeszny pacierz. Błuź-

nierca tak dobrze odegrał pogrąžo-
nego w żalobie, że wieśniacy szcze-
rze oplakiwali swego duszpasterza.
Tylko nikczemny wikary o lisim
spojrzeniu, rzekomy nieboszczyk i
urodziwa niby polne niebo o świta-
niu, niebieskooka córka bednarza,
która przywiódłszy proboszcza do
strasznego grzechu, namówiła o-
szalałego z miłości księdza do
wspólnej ucieczki na kraniec świa-
ta, gdzie zbiegowie spodziewali się
znaleźć swe klusownicze szczęście —
wiedzieli o baranym pochówku. Te-
raz, gdy prostoduszni wieśniacy mod-
lili się o zbawienie duszy zmarłego
proboszcza, a wikaryzna liczył sre-
brne monety, szpakowaty ksiądz i
przetowłosa Elżbieta rozkoszowali
się każdą chwilą, tak jakby prze-
czuwali karzący grom, który nieba-
wem miał zwęglić na popiół złęczo-
ne w występny uścisku, grzeszne
ciała kochanków...

Minął ledwie rok od baraniego
pogrzebu, gdy o zaduszkowym
zmierzchu dobyło się z mogiły pod
zmurszałym dębem jeżące runo ow-
cze i gospodarskie czupryny — po-
śmiertne beczenie czarnosierstnego
tryka. Strwożone w obórkach owie-
czki poczęły tłuc kopytkami i ra-
ciczkami o klepisko, szarpać się z
uwiezi i targać konopne wędzidła
— aż pozrywały się ze sznurów, po-
uwalniały z pęt i pastronków, i wy-
dostały na zewnątrz. Na dworze
zbiły się w ścisłą gromadę i — po-
bekując — ruszyły za głosem do-
chodzącym z cmentarza.

W gęstej mgłę trzódka wygląda-
ła niezwykle malowniczo. Urzeczony
widokiem stada, ginącego w roso-
chatej mgłę, syn organisty Wzdregi
namalował baśniowy obraz, przed-
stawiający stado owiec wędrujące
na cmentarz, spowite w białoruny
całun. Stare malowidło wisi do dziś
w bocznej nawie kościołka w Bia-

CIĄG DALSZY NA STR. 11

MARIAN SARAMA

spodko- wiany

Entropia! Entropia to jest lo-
garytm z prawdopodobieństwa
... Och, jak mi szumi w gło-
wie. — Profesor Leski odłożył dłu-
gopis. — Dosyć tych cholernych
liczb, ciągów, całek, różniczek. Do-
syć na dziś, na jutro, na tydzień, na

miesiąc... Ach, ta skleroza, przecież
ja już od trzech dni jestem na ur-
lopie, powinienem gdzieś wyjechać
i w ogóle. Dokąd jechać? Choćby w
góry liczyć barany.

Stało się tedy, że już następnego
dnia prof. Leski wyładował wysoko
w górach. Minął Dolinę Chochołow-
ską i parł jeszcze wyżej, ku Dolinie
Jarząbcezej. Był jak najdalej od lu-
dzi. Tu, w Tatrach Zachodnich, spo-
tyka się bardzo mało turystów. Nie-
co poniżej Jarząbcezej Wierchu na-
potkał góralski szataś, kilkadziesiąt

owiec, owczarka „czleku po pas” i
właściciela gazdostwa, Jonka Warka
z Końca.

— Pochwalony! Przyjmiecie mnie
na letnika?

— Niegze ta będzie. Ludzi tu nie
uwidzicie, panie, jeno mnie a moje
stryki, co sie pasom na hali. A wy,
panie, coście za jeden? Ziemie mo-
cie?

— Jestem profesorem matematy-
ki. Ziemi nie mam.

— Toście, panie, parobek, jak zie-
mi ni macie. Profesor? Ba, tyz pik-
nie. Kozdy robi, co moze, zeby nie
kraść.

Minęło parę dni, płuca uczonego
znakomicie się dotleniły, serce za-
częło mocniej i równiej pikać. A
profesor, jak to profesor, ledwie
trochę odsapnął, już zaczął coś tam
liczyć, mnożyć, układać w ciągi.

— Baco!

— Mozecie mi mówić baco, choć
teroz sie mówi po ślachecku: kie-
rownik zespołu wypasowego owiec.
Ceguj feciecie?

— Macie tu może encyklopedię?

— Ni mom. A co byście, panie,
fcieli wiedzieć? Jo duzo wiem, to
wos po krześcijańsku podratujem.

— E, nie dacie rady. Potrzebuję
coś z cybernetyki.

— Ni mom zodnej cygarmetryki, jo
fajke pipce. Ale, ale, patrzcie sie
ino, o te cygarmetryke juz mnie sie
pytały jakiesik spodkowiany.

— Co za spodkowiany?

— No te, co łońskiego roku przy-
leciały tu kajsi z nieba na takim
spodecku. Musieliście o tym cytać,
bo gazety pisały, że nad Polskom
jakisik spodek lotol. Staneni hań na
przelące między Jarząbcezym Wier-
chem a Kończystym Wierchem, na
samej granicy. Potem zaś tu przyszli
i pytali mnie o te cygarmetryke.
Było ich dwóch. Nosompierw jo nie
nie rozumioł, bo cosik tak warceli,
jak mój owcarek Zabij abo jakby
owce dzwonki zbrycały. Jo tam z ni-
mi nie chcioł gadać, bo dudków ni
mieli, to cöz bedzies z takim ukwa-
lowoł?!

— Co też mówicie? Przecież to
bajka!

— Bajto, nie bajto. Tak było, to
i prowda. Powarceli, powarceli, a
potem rzucili na mnie sieć i me
związali. Silne som te spodkowiany,
nie powiem, nie powiem! Potem mi
przywiązali takom rurecke do gło-
wy, a drugi koniec rurki jeden spod-
kowan przilozył sobie do gardła.
Nawet mnie to zdziwiło, bo wtedy
zaconem rozumieć ich zbrycenie, a
oni do mnie mówili juz po góralsku.
No i wtedy sie mnie pytali, cy znom

CIĄG DALSZY NA STR. 11



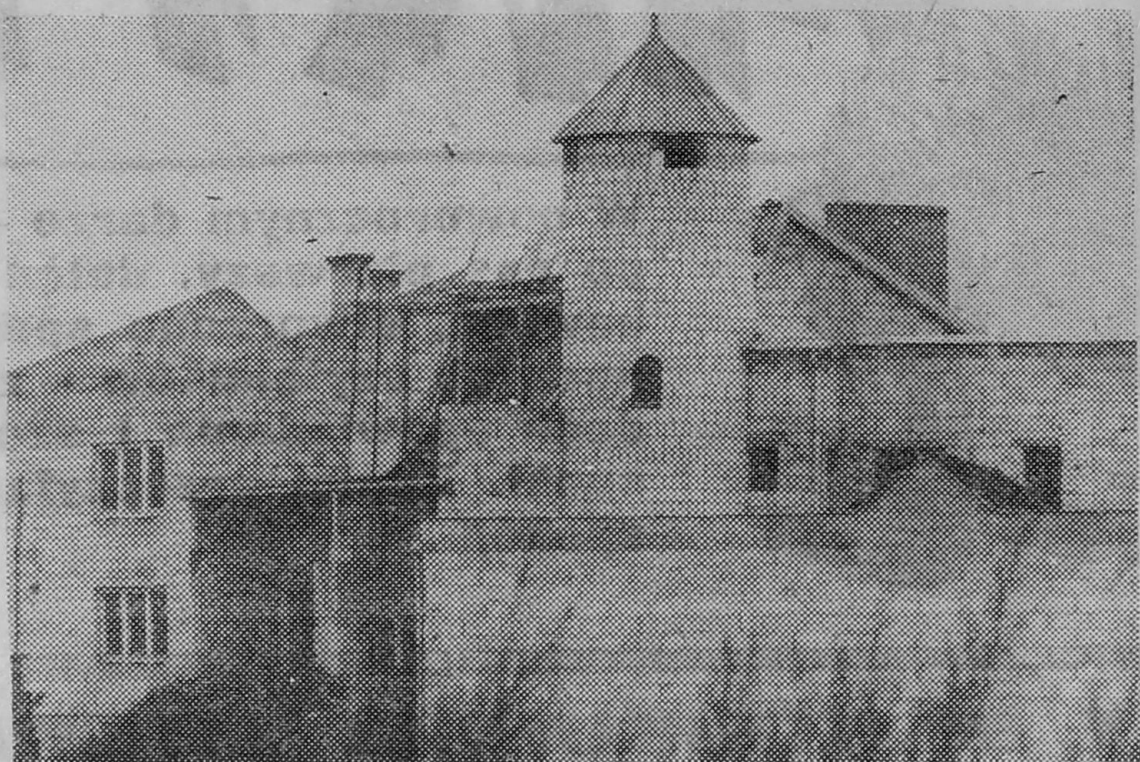
RYŚ. EWA BENDZIECHA

W następnym numerze: „Amok”, czyli o katowanych (bezkarnie) żonach: „Panny sznurem...” — o szansach na wojskowy mundur, „Badylarzem być!” — o kochankach fortuny, „Kto ci kazał kraść” — o dziejach łomżyńskiej szajki, „Huu znad Perfumowej Rzeki” — powiew egzotyki.

„Zdarzenia” ustąpiły tym razem miejsca łomżyńskiej księdze o sobliwości — demograficznych, gospodarczych, kulturalnych. A wszystko pod hasłem — naj... Choć staraliśmy się, by wyłowić wszystkie ciekawostki przecież mogliśmy jakiś fakt przeoczyć lub dane zaniżyć. Prosimy więc czytających o uzupełnienie i ewentualne poprawki. Autorów najbardziej oryginalnych sygnałów nagrodzimy książkami.

▲ **NAJMNIEJSZA** ilość chętnych do zawarcia związku małżeńskiego łomżyński USC odnotował w grudniu — tylko 30. I powiedzieć, że jeszcze nie tak dawno grudzień był jednym z najpopularniejszych „ślubnych” miesięcy.

▲ **NAJBARDZIEJ** niebezpiecznym skrzyżowaniem w Łomży jest zjazd z ul. Świerczewskiego na osiedle Jantar, przy popularnym „blaszaku”. Zdarzyło się tam w ciągu roku 9 wypadków drogowych. Zginęły w nich 2 osoby, a 7 zostało rannych;



Najradośniejszy pryszcz architektoniczny (wg opinii Architekta Wojewódzkiego) Fot. GABOR LÖRINCZY

▲ **NAJMŁODSZA** para, która stała się na ślubnym kobiercu w łomżyńskim Urzędzie Stanu Cywilnego, liczyła w sumie 35 lat. Ona — 16 i kilka miesięcy, plus zezwolenie z sadu; on — 19. Podziwialiśmy **NAJSTARSZĄ** parę, która wstąpiła w związek małżeński: Panna Młoda liczyła 78 wiosen, Pan Młody — 77. Najżywotniejszej parze życzymy doczekania srebrnego wesela.

▲ **NAJWIĘKSZA** ilość zgłoszeń noworodków notuje Urząd Stanu Cywilnego w Łomży. **NAJPOPULARNIEJSZYMI** w tym roku imionami były: Anna, Marta, Małgorzata, a wśród chłopców: Tomasz, Jacek i Grzegorz. Najmniejsze powódzenie miały: Urszula, Emilia, Martyna, Patrycja, Bartosz, Damian, Cezary, Kamil.

▲ **NAJTEŻSZY** noworodek, który urodził się w kolejnym kryzysowym roku w Zespólnym Wojewódzkim Szpitalu, ważył 5 kg i 50 dkg. **NAJMNIEJSZE** dziecko urodzone w 1982 r. liczyło sobie 1 kg. **NAJMNIEJSZY** wśród najmniejszych urodził się w 1979 roku i ważył 730 gramów.

▲ **NAJWIĘCEJ** dzieci uczy się w Łomżyńskiej szkole nr 1 na osiedlu Południe. W pięciu oddziałach pobiera naukę 1050 uczniów. Po „jedynce” **NAJWIĘCEJ** dzieci uczęszcza do szkoły nr 3 i 4 w Łomży. **NAJLIČEBNIEJSZE** szkoły w terenie to „trójka” i „czwórka” w Zambrowie i „czwórka” w Grajewie. **NAJMNIEJ** uczniów uczęszcza do wiejskich punktów szkolnych. 25 dzieci — to dolna granica uregulowana zarządzeniem Ministerstwa Oświaty i Wychowania, na którego podstawie może powstać taka mini-szkola.

▲ **NAJRZADZIEJ** wykonywanym rzemiosłem w województwie jest bednarstwo, kołodziejstwo i kowalstwo. Choć kuźni w terenie nie brakuje, to kowale bardziej zbliżyli się w wykonywaniu swego rzemiosła do słusarzy; podkuć konia to już niewielu potrafi! Najwięcej rzemieślników łomżyńskich to murarze, malarze, instalatorzy sanitarni i posadzkarze. Zawody budowlane stanowią 60–70 proc. ogółu wykonywanych rzemiosł. W całym województwie jest jeden artysta-rzemieślnik.

Najdalej za dwa tygodnie rozpoczynamy druk niekończącej się serii opowiadań z naszego konkursu i tłumaczeń nieznanymi tekstami obcojęzycznymi. W każdym numerze jedno opowiadanie i jedna grafika NIESAMOWITA lub SENSACYJNA.

▲ **NAJWIĘCEJ** godzin nadliczbowych poza ruchem ciągłym przypadło na 1 robotnika grupy przemysłowej i rozwojowej w Zakładzie Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Wysokiem Maz. — 141,2; w Zakładach Płyt Wiórowych w Grajewie — 88,2 godz.

▲ **NAJBARDZIEJ** niekorzystne relacje zatrudnienia i wydajności pracy wystąpiły w Łomżyńskim Przedsiębiorstwie Budowlanym. Produkcja podstawowa w ciągu 11 miesięcy obniżyła się o 7,7 proc. przy zwiększonym zatrudnieniu o 23 osoby.

▲ **NAJWIĘKSZE** wskaźniki dynamiki produkcji podstawowej osiągnęły: Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Komunalnego w Łomży — 297,2 proc., Przedsiębiorstwo Budownictwa Komunalnego w Grajewie — 192,1 proc. Rejonowe Przedsiębiorstwo Melioracyjne w Grajewie — 187 proc.

▲ **NAJWIĘKSZE** nakłady poszły w tym roku na gospodarkę mieszkaniową oraz niematerialne usługi komunalne (37,5 proc. ogólnych nakładów), rolnictwo — 30,2 proc. **NAJMNIEJ** pieniędzy zainwestowano w transport samochodowy, oświatę i wychowanie, przemysł elektromaszynowy, handel.

▲ 2,5 mln kilometrów przejechał kierowca PKS Stanisław Zalewski. On też legitymuje się **NAJDŁUŻSZYM** stażem.

▲ **NAJODLEGLEJSZA** miejscowość, do której transportowały towary samochody łomżyńskiego PKS-u jest Zgorzelec — 665 km, to również **NAJDROŻSZA** trasa.

▲ **NAJWIĘKSZE** przeciążenie linii komunikacyjnej występuje na trasie Kolno-Łomża.

▲ **NAJDŁUŻEJ** stała w kolejce (po buty) pewna mieszkanka Łomży: od godz. 16.00 w niedzielę do godz. 17.00 w poniedziałek. Ale buty dostała.

▲ **NAJSTARSZĄ** budowlą, która dotrwała do naszych czasów, jest kościół w Wiźnie (zbudowany prawdopodobnie ok. 1500 r.). Nieco młodszą metryką ma katedra łomżyńska. Jej prezbiterium powstało w 1504 r. Za **NAJBARDZIEJ** wartościowy uważa się zespół urbanistyczny w Szczuczynie (1689 r.), wota na Wiktoria Wiedeńska. Za **NAJBARDZIEJ** interesujące — epitafia renesansowe i sklepienie kryształowe w katedrze łomżyńskiej.

▲ **NAJBARDZIEJ** udana impreza tegoroczna, organizowana przez Wojewódzki Dom Kultury, był koncert Chóru Kurczewskiego. Spotkali się na niej trzy pokolenia Łomżan.

▲ **NAJCIEŃNIEJ** mieszkańcy wsi czytają Sienkiewicza. Najczęściej w czytaniu znajdują się „Krzyżacy”, „Potop”, „W pustyni i w puszczy”.

▲ **NAJBARDZIEJ** rozczytanymi gminami (licząc na 100 mieszkańców) są Rajgród i Nowogród.

▲ **NAJMNIEJSZA** powierzchnia sklepowa na jednostkę masy towarowej przypada na handel książkami. Całe szczęście, że mimo kryzysu jest to towar chodliwy. Poszła jak woda nawet **NAJDROŻSZA** w minionym roku książka — „Atlas ryb morskich” w cenie 4000 złotych. **NAJGRUBSZA** książka była „Encyklopedia powszechna” PWN. **NAJWIĘKSZE** rozmiary miał album malarstwa Kossaka. **NAJMNIEJ** (6 egzemplarzy) Łomżyński Dom Książki, otrzymał z 30-tysięcznego nakładu książki „Zrób mi to mamie” (dzianina dla małych dzieci), wydane przez „Wartę”. **NAJSTARSZE** książki, znajdujące się na półkach księgarni, pochodzą z 1952 roku.

▲ **NAJBARDZIEJ** rozdyktowana sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej okazała się debata poświęconą kulturze. Kulturę mamy tak wspinała, że nie było o czym dyskutować.

▲ **NAJWIĘKSZY** szlagierem roku wszystkich dyskotek były „Kaczuchy”. Nam **NAJBARDZIEJ** podobał się ten taniec w wykonaniu pewnej pani (w biodrach 120 cm). Było to na weselu narzeczeństwa z najdłuższym stażem (15 lat).

▲ **NAJDŁUŻSZE** tango (kilkunastu godzin) można wysłuchać w mieszkaniu przy ul. Wojska Polskiego 31/26, przykładając lewe ucho do prawej ściany.

▲ **NAJWIĘKSZY** śmietnik w **NAJPIĘKNIEJSZYM** miejscu znajduje się przy ul. Woźniowskiej w Łomży.

▲ Do miana **NAJODWAŻNIEJSZEGO** arbitra piłkarskiego претенduje Piotr Skawski. Podczas pucharowego pojedynku Wisły Szczuczyn z ŁKS-em Łomża aż pięć razy sięgał po kolorowe kartoniki, z których trzy — dwa czerwone i jeden żółty — wręczył piłkarzom gospodarzy.

▲ **NAJWIĘCEJ** notowaną dyscypliną sportową w województwie łomżyńskim jest niewątpliwie tenis stołowy. Reprezentantki ŁKS-u prowadzą w trzeciej grupie II ligi mają duże szanse na awans do ekstraklasy.

▲ **NAJWIĘCEJ** medali dla województwa łomżyńskiego podczas I Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży zdobyły kajakarki Łomżyńskiego Towarzystwa Wioślarskiego Osada K-4 na dystansie 1000 metrów wywalczyła złoto, a w konkurencji K-2 dziewczęta zdobyły brąz.

▲ **NAJDŁUŻSZĄ** granicę ma województwo łomżyńskie z białostockim — 186 km, najkrótszą — siedleckim (39 km). **NAJDALEJ** na północ wysuniętą gminą jest Rajgród, na południe — Perlejewo, na zachód — Turośl, na wschód — Sokółka. **NAJWIĘKSZĄ** powierzchnię ma gmina Goniadz — 37 230 ha. Trzcianna — 33 353 ha. **NAJWIĘCEJ** sołectw znajduje się w gminie Zambrow — 69 i Jedwabnem — 57.

wieści gminne

SZCZUCZYN. **NAJWIĘKSZĄ** wsią gminie jest Nieckowo. W 72 gospodarstwach mieszka 337 ludzi. **NAJMNIEJSZĄ** są Koniecki Małe z 7 gospodarstwami i 42 mieszkańcami. ▲ **NAJSTARSZĄ** mieszkanką Szczuczyna jest Stefania Wikowska ukończyła 100 lat życia. **NAJSTARSZY** mieszkaniak gminy, Kazimierz Krzaniowski ze wsi Dolegi przeżył 82 lata. ▲ **NAJDŁUŻSZYM** stażem małżeństwa legitymuje się Czesław i Franciszek Piatowscy. W związku małżeńskim przeżyli pół wieku. ▲ **NAJDŁUŻEJ** przetrwał wsi sprawuła Stanisław Kulakowski z Mazewa i Henryk Chmielewski z Niezdzwiednej. Sołtysami są od 18 lat. **NAJWIĘKSZE** gospodarstwo rolne posiada Eugeniusz Biedrzycki ze wsi Kur. Zajmuje ono w sumie 45,15 hektarów. **NAJWIĘKSZY** hodowca trzody chlewniej jest Czesław Jastrzębski z Bełkwa. Stado liczy 167 sztuk. ▲ **NAJWIĘCEJ** zboża z tegorocznych plonów dostarczył na punkt skupu Piotr Chomowski z Lipnika. Sprzedał on psuży 8,5 tony. ▲ **NAJWIĘKSZĄ** dostawą białych gumowych zdarzyła się w maju ub. Gmina otrzymała wtedy 75 par gumy kół.

PIATNICA. **NAJWIĘKSZĄ** wsią gminie jest Drozdowo, liczy 180 gospodarstw i 754 mieszkańców. **NAJMNIEJSZĄ** jest Wiktorzyn z 28 mieszkańcami. ▲ **NAJSTARSZĄ** mieszkanką gminy Anna Grabowska z Trzyszek skończyła lata. ▲ **NAJDŁUŻEJ**, bo 61 lat w związku małżeńskim przeżyli Józefa i Stanisław Barszczowie z Kossak. ▲ **NAJWIĘKSZE** gospodarstwo rolne w gminie posiada Mieczysław Szymański z Krzeta Starego. Zajmuje ono obszar prawie hektarów. ▲ **NAJWIĘCEJ** cięgniaków spośród wszystkich wsi w gminie posiadają rolnicy z Kalinowa (33 maszyn). **NAJWIĘCEJ** samochodów jest w Piatnicy Włosciańskiej (87). ▲ **NAJDŁUŻEJ** budowanym obiektem w gminie jest ośrodek zdrowia. Budowę rozpoczęto 1978 roku.

STAWISKI. **NAJWIĘKSZĄ** wsią w gminie Dziezba liczy 1/2 gospodarstwa i 124 mieszkańców. W najmniejszych, Żelkach, jest 6 gospodarstw i 37 mieszkańców. ▲ **NAJWIĘKSZE** gospodarstwo gminie posiada Stanisław Filipkowski z Karwowa (48,67 ha). ▲ **NAJDŁUŻEJ**, od 25 lat, sołtysiem jest Adam Wróblewski z Dziezby. ▲ **NAJWIĘKSZE** stado posiada Stanisław Karwowski z 7 borowa Grabówek. **NAJWIĘKSZĄ** hodowlę trzody chlewniej Tadeusz Śmiarowski z Grzymek (116 sztuk). ▲ **NAJWIĘCEJ** cięgniaków jest we wsi Sokółka. Rolnicy posiadają 35 maszyn.

WASOSZ. Największą wsią (poza Wasoszem) jest Ławsk, ze 124 gospodarstwami. **NAJMNIEJSZĄ** — Biebrzydzy z zagrodami. ▲ **NAJDŁUŻEJ** sołtysiem jest Eugeniusz Karwowski z Kędziorowa (18 lat). **NAJWIĘKSZE** gospodarstwo rolne (47,10 ha) posiada Józef Świdorski z Bagienic. ▲ **NAJWIĘCEJ** cięgniaków jest w Wasoszu i Zembrach (w każdej wsi 27). ▲ **NAJWIĘCEJ** samochodów oswojonych zarejestrowanych jest w Wasoszu (46). ▲ **NAJDŁUŻEJ** w gminie trwa budowa przedszkola, od 1978 roku.

protokół

jury konkursu literackiego

niesamowitość i sensacja

protokół

jury konkursu plastycznego

3

KONTAKTY
21 1983

Powołane przez organizatora konkursu — redakcję łomżyńskiego tygodnika społecznego „Kontakty”, Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Łomży, Społeczne Stowarzyszenie Prasoznawcze „Stopka” — jury w składzie: Zenona Macużanka — przewodnicząca oraz Józef Anioł, Janusz Berner, Bohdan Czeszko, Henryk Gała (sekretarz konkursu), Leon Jańczak, Robert Stiller, Marek Wydmuch i Stanisław Zagórski — na posiedzeniu końcowym w dniu 10 grudnia 1982 r. orzekło co następuje.

Spośród 525 nadesłanych prac do wnikliwego rozpatrzenia zakwalifikowano 109 opowiadań. No i zaczęło się najtrudniejsze — wylanianie kandydatów do nagród. Panowie Janusz Berner i Bohdan Czeszko zgłosili tylko po sześć opowiadań, ale panowie Józef Anioł i Robert Stiller — aż po jedenaście. Ostatecznie do nagród i wyróżnień pretendowały trzydzieści dwa (32) teksty.

Jury, zmieniając wysokość nagród, w tym również Nagrody Prezydenta Łomży, postanowiło:

dwie I nagrody po 12.000 zł przyznać za prace:

„Barania mogiła” — godło „Jesion”, której autorem okazał się

MAREK OBARSKI z Poznania,

„Spodkowiany” — godło „Okolica”, której autorem okazał się

MARIAN SARAMA z Katowic,

dwie II nagrody po 8.000 zł przyznać za prace:

„Skazaniec” — godło „Jakub” —

ZBIGNIEWA ADAMCZYKA z Jaworzna,

„Ostatni kurs” — godło „Lokomotywa” —

GRZEGORZA MATZA ze Szczecina.

Nagrodę Prezydenta Łomży, w wysokości 5.000 zł, za motyw łomżyński została przyznana za pracę „Magiel” — godło „Libra” —

ANDRZEJA KOSTARCZYKA z Warszawy.

Wyróżnienia po 1.000 zł otrzymali:

ANDRZEJ T. TORBUS z Krakowa,

WOJCIECH SOBOL z Olsztyna,

JACEK GŁĘBSKI z Łodzi,

MARIA LEWANDOWSKA z Warszawy,

WITOLD M. ORŁOWSKI z Łodzi.

Nagrodę dziennikarzy „Kontaktów” — rysunek Stanisława Kędzielskiego — za nadzwyczajną syntetyczność i satyryczną metaforę wypowiedzi otrzymał JÓZEF RYBIŃSKI z Białegostoku za pracę podpisaną „Aleksander Mały”.

Jury, korzystając z prawa do innego podziału nagród, ustaliło ich następujące wysokości:

I nagroda — 7.000 zł,

II nagroda — 5.000 zł,

III nagroda — 3.000 zł;

uzyskało w ten sposób dodatkową kwotę dla zwiększenia ilości osób wyróżnionych.

Po niesamowitych i sensacyjnych kontaktach z pracami nadesłanymi na ogólnopolski konkurs plastyczny „Niesamowitość i sensacja”, jury w składzie: przewodniczący — Andrzej Podulka, członkowie — Stanisław Kędzielski, Andrzej Szufarski, przyznało następujące nagrody:

I nagroda — 7.000 zł — MARIA FILEK (godło „Mar”),

Wadowice,

II nagroda — 5.000 zł — ZDZISŁAW GRABOWSKI

(godło „Przekorny”), Konin,

III nagroda — 3.000 zł — GRZEGORZ KACZMAREK

(godło „Pomorze”), Ostrów Wielkopolski,

i wyróżnienia:

KRYSTYNA NAMIOŁKO („Cynia”), Sztabiszki,

ANDRZEJ B. CEDZYŃSKI („Pokusa”), Łódź,

TADEUSZ WIBIG („Wąż morski”), Łódź,

LESZEK HERMANOWICZ („Buzia”), Zielona Góra,

WALDEMAR PUSLECKI („Kruk”), Komprachcice,

ANDRZEJ HOŁOWACZ („Hektor”), Miłakowo,

EUGENIUSZ BEDNAREK („Nemo”), Chorzów,

JOANNA SZKLARSKA („Nin”), Dzierżoniów.

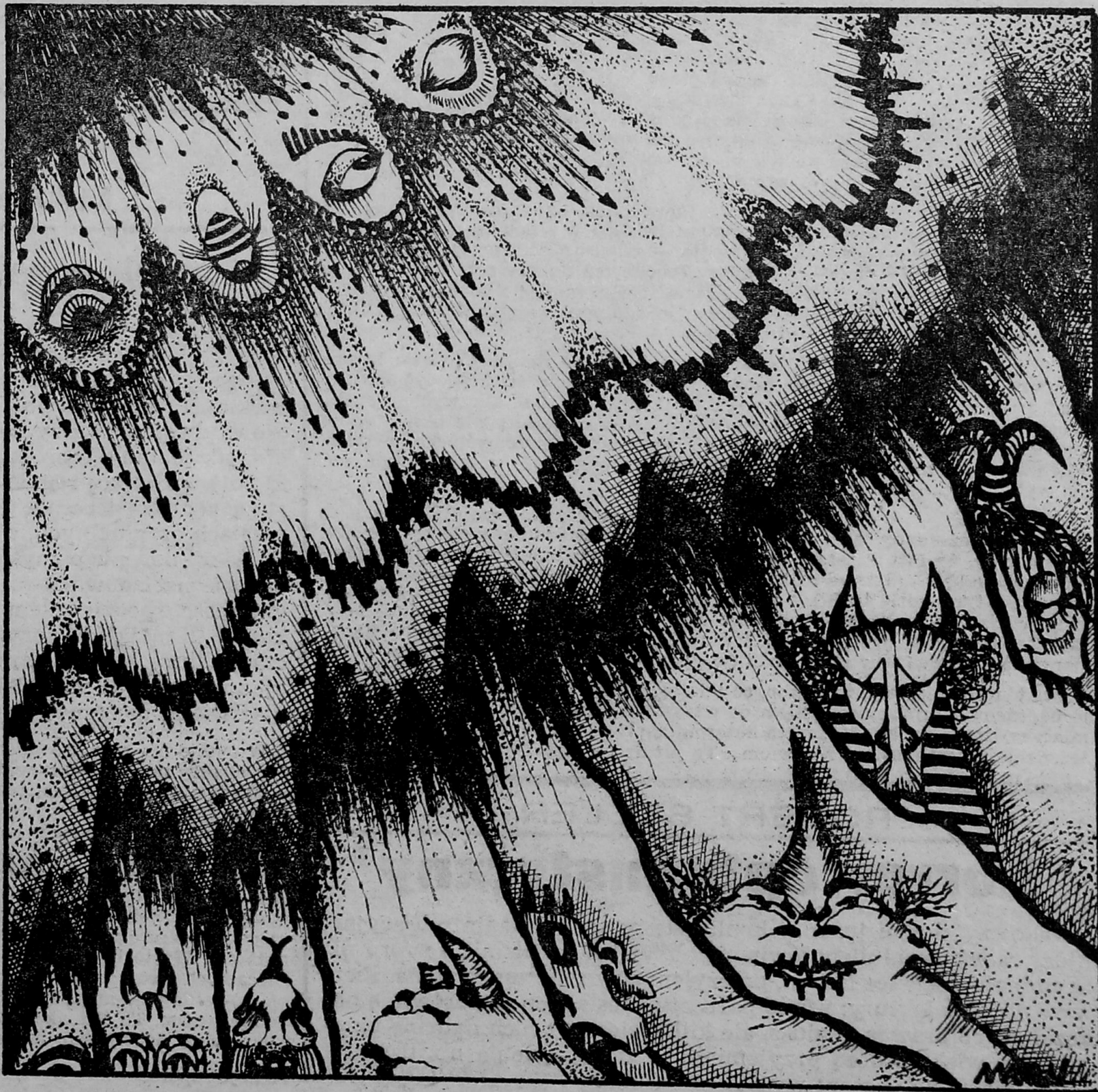
Nagrodę specjalną przewodniczącego jury otrzymał:

BOGDAN LITWIN z Ostrowa Wielkopolskiego.

Na konkurs nadesłano kilkaset prac o zróżnicowanym poziomie artystycznym, przygotowanych przez plastyków profesjonalistów i amatorów. Znalazło to odzwierciedlenie w podziale nagród.

I nagroda
w konkursie
plastycznym

RYS. MARIA FILEK



zadanie herkulesowe dla Poirot

Konkurs przyniósł obfity plon. I to jest pierwsza pocieszająca konstatacja. Gdyby się okazało, że po rozszyfrowaniu godel jeden i ten sam autor napisał kilka wyróżniających się opowiadań, byłoby to jeszcze bardziej pocieszające. Ale na tym poprzestane, wyliczając sprawy naprawdę niosące satysfakcję. Po przeczytaniu dostarczonych mi tekstów czuję się zobowiązany do naszkicowania mego tak zwanego „ogólnego wrażenia”, jak i do uszeregowania pod względem, przeze mnie rozumianej, wartości przeczytanych tekstów.

Wrażenie ogólne nie jest nacechowane zachwytem. Nie udało mi się znaleźć wśród przeczytanych tekstów naprawdę dobrego, o którym mógłbym wyrazić się w sposób nie pozostawiający wątpliwości co do mej jednoznacznie aprobującej oceny. Ale to się zdarza niezmiernie rzadko. W moim życiu zdarzyły się dwa lub trzy takie, nie tylko moje zresztą, odkrycia. Talent rzecz rzadka. Pragnąłbym aby animatorzy zechcieli mi uwierzyć, iż nie przemawia przeze mnie kosztowność zbliżowanego czytacza literatury, lecz po prostu rozeznanie nabyte latami lektur i... pisanie.

Opowiadań zasługujących na uwagę najchętniej nie wyróżniałbym nagrodami w sensie stopniowania ich (choć stopniowanie takie zastosuję, wymieniając poszczególne teksty), ponieważ rozróżnienia takie byłyby na aptekarską miarę i nie ma wśród tych opowiadań takiego, przy którym po słowie „tak” nie następowałoby „ale”; inaczej mówiąc: nie ma tekstu, któremu nie dałoby się przeciwstawić innego mającego inne walory mocniejsze. Na przykład gdzie dobry pomysł, słabsze wykonanie i na odwrót.

Myszę zresztą, ale jest to już naprawdę moja wyłącznie osobista uwaga, że właśnie nie co innego, jak pomysł, jak osiągnięcie puenty za wszelką cenę — nawet wbrew logice — stawiane sobie za cel nadrzędny, zaciążyło na tym konkursie, ale jego treść i wymogi nakładają do tego. Miał naprawdę dobry, oryginalny pomysł po tych tysiącach tomików koryfeuszy literatury kryminalnej czy fantastycznej, to zaiste herkulesowe zadanie (dla Herkulesa Poirot). Teraz jednak do rzeczy, to znaczy do opowiadań. Nie będę się oczywiście pastwił nad tymi, które z różnych względów są, moim zdaniem, złe; wymienię — z krótkim uzasadnieniem — te, które nie wzbudziły we mnie niechęci.

Godło „Jakub”, opowiadanie pod tytułem „Skazaniec”; właściwie nie ma zdecydowanego pomysłu. Lub inaczej można powiedzieć: pomysł jest wtłoczony w zbyt szczupłe ramy. Autor czytał (co już godne pochwały, jeśli nie jest omyłką) monografię czy raczej — zbeletryzowaną biografię Rembrandta Davida de Jonga, w której można wyczytać, kim był za życia trup podlegający sekcji w „Wykładzie anatomii”. To uważne czytanie (mam nadzieję) zrodziło pomysł opowiadania prowadzonego równolegle na kilku płaszczyznach. Jest to też echo wierzeń, iż śmierć kliniczna nie jest kresem egzystencji. Na marginesie: ciekawe, że wierzenia te trapią najmadrzejszych. Mann nie chciał być spalony po śmierci, „ponieważ to może boleć”. W niemieckich klinikach, o czym wiem, trzymają umrzyków przez długie godziny po tym, jak na ekranach jest już linia ciągła albo ciemność. Jest to niezłe napisane opowiadanie, zmacone, zbyt skomplikowane, ale jest.

Godło „Jesion” — „Barania mogiła”. Opowiadanie to nosi wszystkie cechy klechdy. Jest trochę jakby „na szkle malowana”, gdyby była pisana gwara, niejednego znawcę folkloru mogłoby to zapędzić w barani róg. Pisarze kiedyś — kiedy mieli jeszcze czas i poczucie humoru — zabawiali się podrzucając uczonym takie odkrycia. Dziś nie ma czasu nikt, a poczucie humoru ocalili nieliczni (z pijących Heniu Panas, a z niepijących — Staś Zieliński). Na miejscu autora wymyśliłbym jednak jakąś karę dla proboszcza i jego kochanicy poza tym, że rychły i sromotny koniec ich spotkał. Domaga się tego konwencji klechdy. A także nie wiadomo, co się stało „na końcu” — czy baran trykał dalej, czy też trykania zaprzestał.

Godło „Okolica” — „Spodkowiany”. Pomysł jest nader wyświechtany, bo kto nie pisał o kosmitach. Sam trzymam jednego w lodówce, małego z tych zielonych. Zabawna jest jednak puenta — odwrotność puenty znanego góralskiego dowcipu o bacy-sodomicie. Trochę też dobrze robi opowiadaniu żartobliwie traktowany folklor. Zabawne, bezpretensjonalne opowiadanko. Opowiadanie pod tytułem „Magiel” ma moim zdaniem, najszcześniejszą puentę. Nader warto napisane. Wyróżniłbym je.

Godło „Arego” — „Dziewięć kwadransów i jedna minuta”. Niezłe to pomysły, jak na opowiadanie makabryczne. Napisane średnio, być może z racji pośpiechu i braku umiejętności. Brak mi bodaj szczytkowych charakterystyk osób dramatu, zwłaszcza zdradzonego męża, który nie nosi w sobie piekielnictwa predysponującego go do wykonania przemyślnego wyroku. Puenta w tym przypadku jest wyraźnie przeciągnięta. Powinno się kończyć na wyjawieniu, kim była zabita kobieta.

Godło „Jaz” — „Wyspa szczęścia”. Tu znów lutowa, nie przemyślana puenta. A przecież gdyby ją inaczej poprowadzić, opowiadanie wiele by zyskało. Powiedźmy, że Pitt Paterson ląduje na wyspie skażonej promieniowaniem, już trochę odżytej (dziwne rośliny i zwierzęta, które odkrywa, a wraz z nimi prawdę o tym, gdzie trafił), a rzecz byłaby lepsza o wiele, ponieważ czytelnicy wiedzą, że wybuchu bomby nie dokonuje się w tak przypadkowy sposób. Zabawa musi być jednak jakoś uwiarygodniona, inaczej jest źle. Może poradzić autorowi, aby trochę nad tym popracował.

I to byłoby, niestety, wszystko, co miałbym do powiedzenia. Kończąc radę (o poprawianiu) zastosowałbym do wszystkich opowiadań. Zwłaszcza kiedy miałyby iść do druku. Można to autorom proponować, może w formie koleżeńskie seminarium. Nie wiem... To już do rozważ.

ROBERT STILLER

horror optymistyczny

Jako czytelnik i juror w konkursie na opowiadania sensacyjne, który zaowocował nieporównanie obficie w dziedzinie horroru niż kryminału i science fiction, przeżyłem trzy mile zaskoczenia. Pierwsze podczas lektury: wśród paruset nadesłanych utworów nie okazał się co prawda geniusz, ale kilkadziesiąt z nich dało się przeczytać z większą dozą przyjemności i zaciekawienia niż trudu, a to już niemało i procent wysoki.

Druga niespodzianka podczas obrad jury: że od pierwszych słów prawie nie było różnicy zdań, a wybór i przybliżona kolejność wyróżniających się utworów były właściwie z miejsca oczywiste. Decyzje zapadały w praktyce jednogłośnie, choć nikt z obecnych się tego nie spodziewał. Oczekiwaliśmy raczej dużych różnic i zawziętej dyskusji, a tymczasem... Jaki stąd wniosek? Że oceny wartości literackiej nie są aż tak dowolne czy subiektywne, jak mogłoby się zdawać; a taka świadomość krzepi.

I wreszcie trzecie zaskoczenie przy otwieraniu kopert z nazwiskami autorów prac już nagrodzonych i wyróżnionych: całkowity brak autorów znanych i profesjonalistów, same nowe nazwiska, w dodatku adresy rozsiane po całym kraju, z wyraźną przewagą prowincji. Nie wiem, jak inni, ale ja odetchnąłem z ulgą i satysfakcją, że nie jest to ciekawostka sama gromadka pisarzy, literatów i niedoliteratów z kawiarni na Krakowskim Przedmieściu.

Ażeby zaś w miodzie nie zabrakło tej łyżki dziegciu, każde z opowiadań, nawet najlepszych, ma pewne braki.

Można by mniemać, że w tym się wyraża brak profesjonalizmu. Ale nie jest to takie pewne, bo znam nie jednego, za przeproszeniem, kolegę ze Związku Literatów Polskich, który stale popelnia identyczne lub równorzędne kiksy prozy, wierszem tudzież w formie scenicznej i nie czuje się przez to mniej dumny. Sądziłbym raczej, że i tu, i tam przejawia się ogólne niedomaganie: brak rzetelnych pomocy i metod w formowaniu świadomości literackiej, chociaż pociąg do literatury jest ogromny. Tak w jego przejawach biernych, jak i czynnych; w namyślnym czytelnictwie i we własnych próbach pisania; bo źródła obu są mniej więcej te same i na podobnych podstawach kształcą się obie te umiejętności.

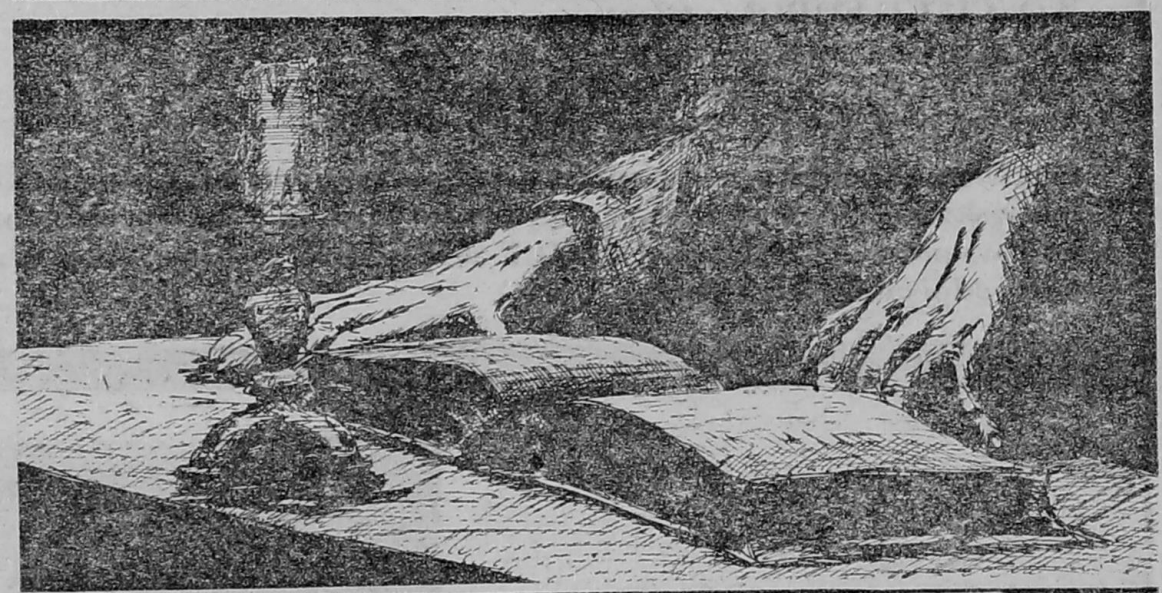
Za własne sznurowadła, jak wiadomo, trudno się podnieść. A na czym innym się wesprzeć?

Brak rzetelnych punktów odniesienia, punktów oparcia, ja osobiście przypisuję zwłaszcza niskiemu poziomowi naszej krytyki, o czym już nieraz pisałem, a także niskiej jakości podręczników i sposobów popularyzacji. Kto chce wyrobić sobie precyzyjne widzenie i pojmowanie literatury albo umiejętności jej uprawiania, ten nie bardzo ma do czego sięgać. Musi najpierw przekonać się na własną rękę przez istne piramidy usypane z plew i bredni, a potem wziąć się do odkrywania Ameryki na własną rękę.

No i jak tu liczyć na cuda?

Ale zdecydowaliśmy się na pewien eksperyment. Dzięki pomocy Ludowej Spółdzielni Wydawniczej autorzy prac konkursowych, nadających się do druku, będą mogli wziąć udział w seminarium, które pomoże im krytycznie ocenić i następnie dopracować swoje utwory, dowiadując się przy tym od nas co nie co o podstawowych tajnikach literackiego rzemiosła.

I to może się okazać jeszcze ciekawszym efektem konkursu niż jego bezpośredni plon w tekstach.



rys. JAROSŁAW BIERDZIO

MAREK WYDMUCH

wbrew pozorom

Przy najlepszych chęciach nie mogę powiedzieć, że niesamowitość i sensacja są w jakiś sposób zakorzenione w naszej tradycji literackiej. Przeciwnie: po dłuższym zastanowieniu przychodzi mi do głowy dwa, może trzy nazwiska — i na tym koniec. Przypadki takie, jak Stefan Grabiński, autor „Demona ruchu”, to raczej wyjątki potwierdzające regułę. Stąd też stosunkowo szczupła ilość powstających współcześnie tekstów tego rodzaju. Myszę, rzecz jasna, o tekstach oryginalnych, a mówiąc „oryginalne” — rozumiem przez to rzeczy nowe w myślenie i w realizacji, nie zaś mniej czy bardziej zręczne naśladownictwa wzorów zagranicznych. Takiej też oryginalności spodziewałem się przede wszystkim po literackim konkursie „Kontaktów”: oryginalności przynoszącej opowiadania, podczas lektury których czułbym, że są one w istocie owocem inwencji autorów, być może jakiegoś ich własnego sposobu widzenia świata, może nawet rodzaju artystycznej przewrotności...

W sumie nie rozczarowałem się. Oczywiście, było sporo tekstów, które — nawet przy pewnej narracyjnej zręczności — niewiele miały nowego do powiedzenia; jeszcze więcej takich, w których zabrakło i owej zręczności. Ale i parę opowiadań rzeczywiście dobrych: takich, których efekty fantastyczne czy sensoryjne wyrastały po prostu z polskiego krajobrazu, z polskiej tradycji czy folkloru. W gruncie rzeczy szkoda, że stanowią one w naszej literaturze fenomen tak egzotyczny, gdyż — wbrew pozorom — niesamowitość i sensacja nie muszą wcale służyć jedynie nieskomplikowanej rozrywce. Mam nadzieję, że konkurs tygodnika „Kontakty” stanowić będzie początek szerszego zainteresowania tym rodzajem literatury, szczególnie wśród młodych autorów. Warto będzie może pomyśleć w przyszłości także o jakiejś formie literackich „warsztatów”, dających pisarzom amatorom możliwość lepszego opanowania rzemiosła, które w przypadku tego właśnie gatunku jest szczególnie ważne. To jednak sprawa późniejsza. Na razie mamy plon konkursu: kilkanaście opowiadań, które chyba wszyscy czytają z przyjemnością.

A to już sporo.

Spośród osób zaproszonych do jury konkursu udało nam się namówić do spisania wrażeń z lektury nadesłanych prac Bohdana Czeszko, Roberta Stillera i Marka Wydmucha.



siów
wy-
De-
n się
znie-
tości
y się

wis-
wity
a, w
pro-
sfak-
nie-

adań,

e nie
gę ze
przed-
przez
e nie-
mości
rzeja-
snych
pod-

m in-

przy-
az pi-
Kto
umie-
pierw
redni,

dowej
o dru-
e oce-
d nas

o bez-

ERDZIO

witość
i lite-
mi do
ki ta-
wyją-
pow-
isna, o
przez
rdziej
z ory-
kon-
, pod-
nwen-
widze-

tóre —
do po-
ci. Ale
styczne
ej tra-
litera-
witość i
e. Mam
k szer-
alodych
formie
pszego
szcze-
kursu:
anością.

Każdą wolną chwilę poświęcał odstawianiu zamierzających tam jemnic ziemni. Jego pochyloną sylwetkę, czapiący, ciężki krok, nieodstępna wyszargana torba, z której wystawała saperka i grabki, znali prawie wszyscy mieszkańcy miasta.

Często widywano go na rozległych terenach grodziszcz Starej Łomży. Ryl pracowicie kurhanki, od przesiewania ziemi ręce miał szorstkie, zniszczone niczym u starego galernika. Odnotował szereg drobnych sukcesów, wygrzebał z ziemi dawne kamienne narzędzia, skorupy garnków. W jego starokawalerskim mieszkaniu na honorowym miejscu stał — nieporadnie obrobiony — kawałek ciemnozielonego kamienia, który Nowacki nazwał paleolityczną Wenus Łomżyńską. Miał w swych zbiorach też przedmioty o znacznie nowszej metryce — fragmenty broni z poboju XIX wieku, a także z kampanii wrześniowej, która na tych terenach przyniosła zacieki, bohaterski opór żołnierza polskiego przed pancerną nawałnicą Hitlera.

Skąd mógł przypuszczać, iż w ten sierpniowy, spokojny wieczór w jego życie nagle wtargnie zło i nieodgadnione? O zmierzchu przybiegł do niego Lutek, chłopak, który pomagał mu w wykopaliskach.

— Proszę pana, razem z Bolkiem znaleźliśmy stare garnki. Jeden jest zupełnie nieuszkodzony.

Popędził z chłopakiem na skraj miasta. Dzieciaki rozkopaly pagórek, bo bawiły się w wojnę i potrzebny im był okop. W pewnej

BRUNO BROŻYŃIAK

dziwna roślina

chwili w jamie pojawiły się obłe zarysy skorup i całego garnka. Lutek już wiedział, co to znaczy, i zabronił ruszać. Nowacki wygrzebał nieuszkodzony garnek i zaniósł ostrożnie do domu. Nerwowo przełknął ślinę i zanurzył rękę we wnętrzu naczynia. Wyrzucił na specjalnie przygotowaną tacę połowę ziemi, aż w pewnej chwili dotknął czegoś dziwnego — pudełka z metalu, na którym nie było najmniejszego śladu rdzy.

Przeniósł je bliżej biurowej lampy, obejrzał ze wszystkich stron, ale nigdzie nie zauważył zamka. Gdy

tak w zamyśleniu trzymał je w dłoniach, wieczko nagle samo ośskoczyło. Wewnątrz, za grubą plastikową szybą, leżało podłużne ziarno. Pod naciskiem palca szybka uniosła się do góry.

Lekko porowate ziarno nie przypominało mu żadnego ze znanych nasion. Obejrzał je i w końcu położył na dawne miejsce. W piramidach egipskich znaleziono starożytne nasiona zbóż, które udało się naukowcom ożywić. Może on stanie się hodowcą nowej, rewelacyjnej rośliny, która zapewni światu obfitość wyżywienia? Długo przewracał się na łóżku, nie mogąc zasnąć z podniecenia. Otwarte pudełko położył obok na szafce nocnej.

Przed południem odbębnił byle jak zaplanowane lekcje, na wszelki wypadek zajrzał do wykopu, ale nie znalazł nic ciekawego. W domu czekała go niespodzianka. Z wewnętrznych boków pudełka wysunęły się jakieś nitki, cienkie jak włos, i przylgnęły do powierzchni ziarnka. Przez wiele godzin nie działał się nic ciekawego, więc poszedł spać.

Gdy rano zajrzał do pudełka, zobaczył w nim szeroko rozwarte ścianki osłonoze ziarna. Wewnątrz leżała bladobrózowa kuleczka. Lekko pulsowała, była żywa. Po południu wystawała już z pudełka, z jej boków wysunęły się ni to lejki, ni to kielichy, z przodu pojawiły się dwa sączki — niby oczy — u dołu widać było niewielki, podłużny otwór. Jej kolor zmienił się na zdecydowanie różowy, zwłaszcza wtedy,

gdy wykształciła trzy pary ruchliwych wici.

Położył pod pudełko tacę, aby zapewnić dziwnej roślinie więcej przestrzeni życiowej. Zbudził się następnego dnia dziwnie osowiały, słaby. Na dodatek gdzieś zniknął jego stary kot Maurycy. Gdy zaczął smażyć jajecznicę, nie mógł doliczyć się kilku jaj w lodówce.

Za lekcje w szkole śmiało należała się pała. Był apatyczny, rozkojarzony, swędziały go ręce po jakichś ukąszeniach, chyba komary naleciały w nocy do mieszkania. Gdy spojrzął na swe łydki, także swędzące, pokryte drobnymi otworami, zrozumiał, iż ma w domu dziwnego potworka, który w nocy podkarmia się jego krwią. Kota zapewne wysączył do końca i gdzieś ukrył. Decyzja była jedna — pozbyć się jak najszybciej szkarady. Dla dobra nauki postanowił załadować coraz bardziej purpurowego stwora do plastikowego worka i zawieźć do Instytutu Zoologicznego w stolicy.

Nie miał już żadnych szans. Gdy wszedł do pokoiku, zza drzwi runął na niego, w pełni już odtworzony, bezwzględny i silny Xyl. Para purpurowych odnóży zacisnęła się na szyi gospodarza, pozostałe cztery spętały mu ręce i nogi. Xyl ssal łapczywie krew do ostatniej kropli. Biedny Nowacki marszczył się i kurczył jak błyskawicznie suszona mumia.

Skąd mógł wiedzieć, że odkrył jeden z przetrwalników plemienia znanych zdobywców Kosmosu — Xylów z mgławicy Eldarena. Przy dalekich wyprawach zawsze przybierali postać przetrwalników. To pozwalało im pokonywać setki milionów lat świetlnych. Błąd komputera pokładowego sprawił, iż ich rakietę rozwalila się wiele tysięcy lat temu w gestych, słabo wówczas zaludnionych, obszarach północnej Polski. Lśniące pudełko znalazł przygodny Prastłowianin i schował do garnka. 17 dalszych przetrwalników leży gdzieś w rejonie grodziszcz. Ożywiony, w pełni już odrodzony Xyl łatwo je odnajdzie dzięki swoim ultraczułym receptorom.

Pierwszym zadaniem konstrukcyjnym purpurowych, pokracznych kosmitów będzie zbudowanie potężnej radiostacji i nadanie sygnału w stronę ich macierzystego układu planetarnego Eng. Domyślam się treści pierwszej depeszy: „W układzie słonecznym P-120170 odkryliśmy piękną, zieloną planetę. Stop. Jest pełna smacznych, ciepłokrwistych stworzeń. Stop. Przybывajcie!”

JANUSZ R. KOWALCZYK

niezastąpiony

Obudził się, jak zwykle, grubo po dziewiątej. Oczywiście, nie usłyszał terkotu budzika, nastawionego, jak co dzień, na siódma. Włożył tę samą zieloną koszulę, którą dwa dni temu postanowił dać do prania.

W kiosku nie było już porannej prasy, a w piekarni, tą samą koleją rzeczy, skończyły się bułki i rogalce. Pozostał nieśmiertelny chleb razowy, którego nie cierpiał.

Zaopatrzony w połówkę razowca, powlókł się do pracy, tymi samymi, co zwykle, nieodmiennie zaśmieconymi, uliczkami.

Oczekiwał reprimendy. O dziwo, szef nie pyskował. Rzecz tylko dość skonfundowanym głosem: — No, jesteś nareszcie! Baliśmy się, że coś ci się przytrafiło. Wszyscy się zebraли, brakowało tylko ciebie. Naczelnik zdenerwował się bardzo i odłożył całą imprezę. Powiem mu, że przyszedłeś.

Szef zawrócił na pięcie i odszedł. „Hmm! Bezradni — pomyślał. — Wszyscy bezradni beze mnie. A mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych.”

Gdy zębrali się już w komplecie na kamiennym placu, otoczonym z trzech stron wysokim murem, powiódł po nich wzrokiem i pomyślał po raz wtóry: „A podobno nie ma ludzi niezastąpionych...”

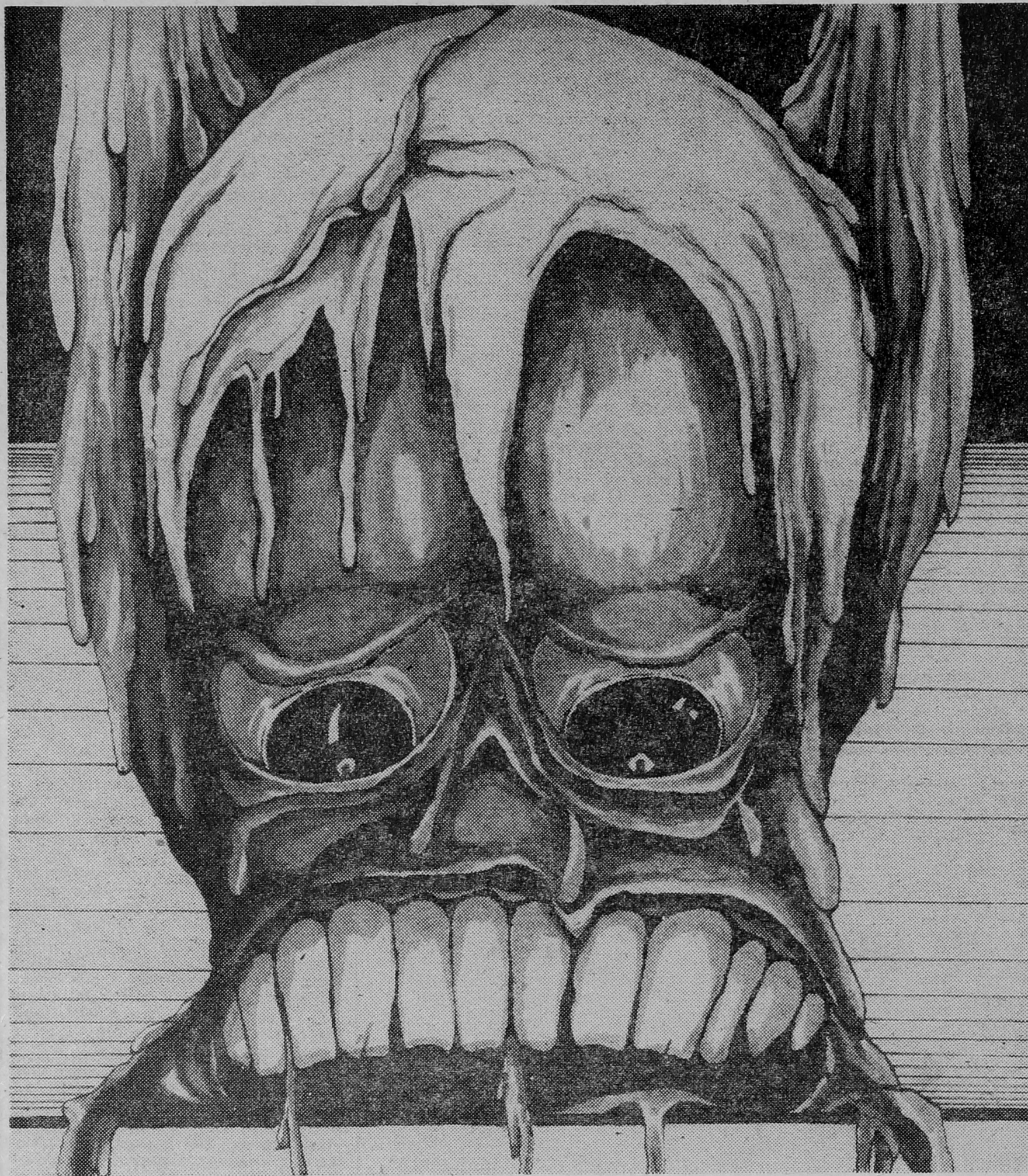
Uśmiechnął się cierpko do własnych myśli i wprawnym ruchem zarzucił pętlę na szyję skazańca.

RYS. ZDZISŁAW GRABOWSKI

II nagroda w konkursie plastycznym

5
KONTAKTY
21 1983





RYS. ZBIGNIEW SZULC

Beata Kura, czterdziestoletnia klapserka, do której obowiązków należało jedynie wpisanie na tablicy numeru kolejnego ujęcia oraz zrobienie klapsa, patrzyła z niesmakiem na kręconą scenę łóżkową. Aktorka rzuciła się jak lalka na sznurku.

Reżyser po raz piętnasty przerwał. — Nie, nie i nie!!! — krzyknął. — Czy ty jesteś dziewczą?! Była kura wczuła się lepiej.

pacjentki. — Wyrwać tak piękny, zdrowy ząb?! W żadnym wypadku! Poprawieniem urody zajmują się kosmetyczki — powiedział na pożegnanie. Podobne sytuacje powtarzały się w innych gabinetach.

Po kilku dniach, gdy zwierzyła się ze swych kłopotów windziarce, usłyszała, iż w Zgryzach Wielkich jest fryzjer, który nie tylko strzyże, lecz również przyjmuje porody i rwie

lym ciele. Krzyknęła po raz pierwszy. Był to dopiero początek. Fryzjer z szatańskim błyskiem oka wwiercał się głębiej. Beata złapała poręcz, nieświadomie wyginając ją do góry i zaczęła wyć. Przy każdym obrocie świada ryk przekształcał się w upiorny chichot. Przez drzwi łączące gabinet z poczekalnią zaglądali przerażeni klienci i zzieleniali ze strachu wycofywali się. Po minucie nie było nikogo.

Pacjentka wygiąwszy poręcz, zsunęła się na podłogę. Mistrz nie dał za wygraną. Włożył jej między szczęki walki do włosów i kontynuował. Ząb lekko drgnął, chrząstnął i poddał się. Wyrwanie go szczypcami było tylko formalnością.

Kubek zimnej wody przywrócił jej świadomość. Otrzymała rachunek za zrobienie trwałej i wyszła. Na pożegnanie zgięty w ukłonie fryzjer wręczył jej zapakowany w gazik kiel.

Ulica była jak wymieciona. Zza rogu wyglądało kilka bladych twarzy, które momentalnie cofnęły się na jej widok. Doszła do przystanku autobusowego i pojechała do domu.

Po zabiegu zaproponowano jej obsadę trzeciorzędnej roli. Noc poprzedzającą wejście na plan spędziła prawie bezsenność. Wreszcie stało się, będzie gwiazdą!

Z uśmiechem włożyła rękę do torebki i wyjęła z kosmetyczki fatalny kiel. Był tak gorący, iż z trudnością mogła utrzymać go w palcach.

Obudziła się z uczuciem niewyjaśnionego niepokoju. Miała gorączkę. Przejechała językiem po spieczonych ustach i poczuła dziwny opór. Wy-skoczyła z łóżka i pobiegła do lustra. Zgroza!!! Kiel siedział na swoim miejscu, był jeszcze większy od poprzedniego — falisto powyginany sięgał aż do brody. Zrozpaczona pojechała do studio. Reżyser pozbawiony poczucia humoru wyrzucił ją za drzwi, polecając stawić się po doprowadzeniu się do porządku.

Pojechała do Zgryzów Wielkich.

Fryzjer powitał ją wylewnie, jak starą znajomą, lecz za żadne skarby nie chciał przeprowadzić zabiegu natychmiast, gdyż — jak twierdził — wystraszyła mu klientelę na tydzień. Umówili się wieczorem.

Po zmroku zapukała do tylnego wejścia. Sprzątaczką o wyglądzie czarownicy, zaprowadziła ją do gabinetu, którego okna były zasłonięte ciężkimi zasłonami i okiennicami. Narzędzie było przygotowane, a powyginane poręcz zastąpiono nowymi, o wiele mocniejszymi.

Fryzjer splunął w garść i ujął kleszcze. Procedura powtórzyła się, mając finał na podwórku. Pacjentka, odsuwając się przed swiderkiem, wypchnęła fotel przez zamknięte drzwi i dojechała do betonowego muru Gminnej Spółdzielni. Tam w ciemnym kącie zabieg — którego cena równała się depilacji brwi — został zakończony.

Przez blisko rok panował spokój. Beata klapsowała przy kolejnym filmie, gdy aktorka złamała nogę i konieczne było znalezienie zastępstwa. Reżyser wskazał na nią. Zadrżała, lecz natychmiast oddała się w ręce charakterystatorów. Gdy wróciła cała ekipa westchnęła z zachwytem — wyglądała pięknie.

Zabiły ją jupitery, padł klaps i... poczuła straszne swędzenie w ustach. W miejscu po fatalnej „czwórce” wyrastał ostry szpic nowego zęba. Krzyknęła przeraźliwie i upadła na podłogę.

Ocknęła się w szpitalnej separacie. Przypomnienie wydarzeń przychodziło jej z wyraźnym trudem. Ślaniając się podeszła do wiszącego nad umywalką lustra, wieczorem natychmiast pojechała do Zgryzów, od przystanku towarzyszył jej tłumek mieszkańców żadnych mocnych wrażeń. Mimo chłodu usłyszała zakłady, które robili między sobą.

Załomotały gwałtownie ryglowane drzwi i okna. Siadła na progu. Zapadła noc. Gapię powoli rozchodzili się w obawie przed burzą. Zaczęło padać, gdy usłyszała cichy szep: — Czy ma pani pierwszy kiel przy sobie? Skinęła głową. — To dobrze, załatwimy to tak, by więcej nie odrastał.

Fryzjer podał jej rękę i poszli w głąb nocy. Trafili do jakichś ciemnych ruin i po rozpadających się schodach weszli do nisko sklepionych lochów. Mistrz zapalił tkwiące w żelaznej kunie lucywo i oświetlił pomieszczenie.

— Jesteśmy w celi przesłuchań inkwizycji — powiedział pełnym głosem. Wypędzone tutaj sto szatanów. Spróbujemy rozprawić się ze sto pierwszym. Skinęła głową, nieświadoma faktu, iż jest pierwszą osobą dobrowolnie godzącą się na niesamowity zabieg.

Mistrz ubrany w dziwną powłóczęstą szatę z naszytymi trupimi czaszkami i pieszczelami, położył ją na drewnianym łożu, przykuł łańcuchami i rozpałił mały piecyk. Gdy węgle przybrały fioletowy kolor, wsunął pod rusztą ząb razem z ogromnymi widlastymi kleszczami. Poczuła intensywny swąd palonej kości, dziwnie rozmiękły jej dziąsła, zapłonęły wszystkie gwiazdy, rozlały się w jedno oślepiające światło i zgasły.

Fryzjer zastosował narkozę a'la wiek XVII, uderzając ją w potylicę ciężką, dębową maczugą. Wyjął z pieca rozpalone do czerwoności szczypce i murecząc: „Apaga satanas”, zbliżył je do ust. Wystarczyło tylko dotknięcie, by wypadł siłą własnego ciężaru. Po nim następne wyskakiwały bez żadnych oporów — jak pestki z dojrzałych wiśni.

Zanim świt ubarwił niebo, powtarzając dwa razy narkozę, uporał się z ostatnim. Sprawdził czy o którymś nie zapomnieli i w westchnieniem ulgi usiadł na twardym zydłu.

Przeliczył zęby — było trzydzieści jeden. Dziewczynie zaczęła wracać przytomność. — Poczekaj, poczekaj — krzyknął. Dla świętego spokoju użył jeszcze raz maczugi i oświetlił lucywowym jamę ustną.

Na samym szczycie, prawie niewidoczny błysnął maleńki zabieg mądrości U, diabelskie nasienie — sapnął z podziwu. — Jaki to mądry ząb. O mało mnie nie oszukał.

Popołudniowym autobusem, wjąc woreczek grzechoczących zębów, wróciła do domu. Gdy rany zabiły się, poszła do protetyka i zamówiła sztuczne szczęki. Pomimo bardzo starannego wykonania nie mogli dopasować właściwych. Dopiero trzecia para była dobra. Gdy spojrziała w lusterko, zobaczyła ogromny, olśniewający biały, wygięty do przodu...

KRZYSZTOF PIETRASZKIEWICZ

biały demon

Klapserka poczuła się dotknięta do żywego. Świątek filmowy miał swoiste normy postępowania, lecz to, na co sobie pozwalał ten szczeniak, było szczytem wszystkiego. Gdyby nie ten ząb — westchnęła odruchowo, wkładając palec w usta.

Przed dwudziestu laty, gdy po raz pierwszy przekroczyła progi wytwórni, była wspaniale zbudowaną brunetką, myślącą, iż wystarczy stanąć na planie, a świat padnie przed nią na kolana. Niestety, po zdjęciach próbnych nikt nie chciał jej zaangażować. Zatrudniono ją w charakterze klapserki.

Ambitna dziewczyna po wielu bezsensownych nocach doszła do wniosku, że jej idealna uroda miała mały defekt, był nim ogromny — olśniewający biały, wygięty do przodu, upiorny kiel — który jak szablę starego odyńca, obnażał się przy każdym otwarciu ust. Ktoś kiedyś napomknął, iż w horrorze o wampirach zbędna byłaby wszelka charakterystyka.

Kandydatka na sex-bombę zrozumiała to bez żadnych podtekstów. Ponieważ ząb uniemożliwiał zrobienie kariery — muszę się go pozbyć.

Pobiegła do najbliższego dentystry. Stomatolog w żaden sposób nie mógł zrozumieć intencji dziwnej

zęby. Pojechała tam natychmiast.

Trafiła do miejscowości, jakby żywcem przeniesionej z XVII-wiecznej ryciny. Stary balwierz przyjął jej propozycję bez zastrzeżeń. Ząb oczywiście wyrwie. Jeżeli panienka życzy sobie, to nawet wszystkie. — Małgosiu — zwrócił się do kobiety zamiatającej włosy — skocz do kowala, niech odda szczypce. Trzymaj je już dwieście lat. Acha, przynieś jeszcze ścierkę do wytarcia podłogi.

Sprzątaczką po chwili przyniosła ogromne narzędzie. Było strasznie zardzewiałe. Dziewczyna spojrziała na nie z przerażeniem. Fryzjer zauważył to i rzucił przez ramię: — A przeciągnij je papierkiem i podostrz na ośce, bo to strasznie niehygieniczne. Podczas szczypiania czarownic mniej się tępiły niż przy bufnalach.

Ujął szczypce, zacisnął je na zębie i pociągnął. Ząb ani drgnął. — Paniusia ma korzenie wygięte, jak baranie rogi — mruknął. — Trzeba go podborować. Małgosia przynies z drewnutni swiderkę. Wbił w przerwę obok „trójki” ostry klin i przekreślił. Poczuła — piekielny, obezwładniający ból, którego centrum znajdowało się w zuchwie, łańcuszkiem nowych ognisk rozchodził się po ca-

W mro-
groblą p-
wy pas l-
nek Kali-
Grady, w-
werze, z-
wracał z-
dziestocz-
Zuk.

Wieczor-
gwiazd s-
natowym
wiew w-
twarz ro-
mnie roz-
i w rado-
cisnął pec-

W mro-
groblą p-
wy pas l-
nek Kali-
Grady, w-
werze, z-
wracał z-
dziestocz-
Zuk.

Wieczor-
gwiazd s-
natowym
wiew w-
twarz ro-
mnie roz-
i w rado-
cisnął pec-

W mro-
groblą p-
wy pas l-
nek Kali-
Grady, w-
werze, z-
wracał z-
dziestocz-
Zuk.

Wieczor-
gwiazd s-
natowym
wiew w-
twarz ro-
mnie roz-
i w rado-
cisnął pec-

W mro-
groblą p-
wy pas l-
nek Kali-
Grady, w-
werze, z-
wracał z-
dziestocz-
Zuk.

Wieczor-
gwiazd s-
natowym
wiew w-
twarz ro-
mnie roz-
i w rado-
cisnął pec-

W mro-
groblą p-
wy pas l-
nek Kali-
Grady, w-
werze, z-
wracał z-
dziestocz-
Zuk.

Wieczor-
gwiazd s-
natowym
wiew w-
twarz ro-
mnie roz-
i w rado-
cisnął pec-

W mro-
groblą p-
wy pas l-
nek Kali-
Grady, w-
werze, z-
wracał z-
dziestocz-
Zuk.

Wieczor-
gwiazd s-
natowym
wiew w-
twarz ro-
mnie roz-
i w rado-
cisnął pec-

W mro-
groblą p-
wy pas l-
nek Kali-
Grady, w-
werze, z-
wracał z-
dziestocz-
Zuk.

Wieczor-
gwiazd s-
natowym
wiew w-
twarz ro-
mnie roz-
i w rado-
cisnął pec-

W mro-
groblą p-
wy pas l-
nek Kali-
Grady, w-
werze, z-
wracał z-
dziestocz-
Zuk.

powrót

W mroźny, grudniowy wieczór, groblą przecinającą trzykilometrowy pas bagien, oddzielający zaścianek Kalinówkę od folwarcznej wsi Grądy, wolno, na skrzypiącym rowerze, zataczając łagodne zygzaki, wrócił z Rutek do Grądów dwudziestoczteroletni parobek, Dionizy Zuk.

Wieczór był pogodny, miliony gwiazd świeciły srebrzyście na granatowym firmamencie, a lekki powiew wiatru chłodził rozpaloną twarz rowerzysty. Jak ta gorzalka mnie rozgrzała — pomyślał Dionizy i w radosnym nastroju mocniej nacisnął pedały.

zowany strachem powoli lecz nieuchronnie zbliżał się do zagajnika. Nagle — zobaczył kilka wilków siedzących na środku grobli. Kątem oka spostrzegł stojącą po prawej stronie wierzbę. Zeskoczył z roweru, rzucając go z trzaskiem na ziemię i zaczął wdrapywać się na rozłożyste drzewo. Po chwili siedział już między konarami, przytrzymując się zwisających gałęzi kurczowo zaciśniętymi ze strachu dłońmi.

Spojrzał w dół i zobaczył, że zgromadzona pod wierzbą sfora ostrożnie obwąchiwała rower. Ile tych bestii jest? — pomyślał i zaczął liczyć. Doliczył się sześciu, pomylił

wierzbę i zachłannymi ślipami przylgają się jego skulonej postaci. O Boże — szepnął, jak długo się tu utrzymam? Najważniejsze — to nie zasnąć, bo wtedy to już koniec.

Postanowił zapalić, lecz zaraz zrezygnował. Skręcać papierosa w tej pozycji było zbyt niebezpieczne. Przypomnił sobie, że ma zapalki. Wyjął je z kieszeni i zapalając rzucał po jednej na ziemię.

Zaciśnięty wokół wierzby wilczy pierścień rozszerzył się. Stado z wściekłością patrzyło na śmiałka. Gdy płomyk spadał obok wilka, ten uskakiwał, a po zgaśnięciu zapalki wracał na poprzednie miejsce. Ale płomyki spadały coraz rzadziej. Dionizy zorientował się, że pudełko jest puste. Ostatnia już zapalka spadła na ziemię i zgasła. Słupia drapieżników wypatrywała kolejnych, a gdy te nie pojawiały się, wilki powtórnie zaciśnęły pierścień. Stary basior zaczął pomrukiwać, reszta poszła za jego przykładem i po

czarną Mańką ze dworu się zadajesz. Dziedzicowym koniom owsa odejmujesz i w tajemnicy Żydowi sprzedajesz. Pamiętaj bratku, pamiętaj, że dziś przyszła na ciebie ostatnia godzina”.

Przewyciężając strach, z wysiłkiem otworzył oczy i spostrzegł, że starego dziadka obok nie ma. Pod wierzbą dalej warowało stado wilków, oczekując cierpliwie na upragniony kasek.

Muszę się zabezpieczyć przed spadnięciem — pomyślał. Podciągnął się wyżej i zaczął z głęzi odplątywać resztkę powrózka. Bardzo długo trwało, zanim zgrabiłymi z zimna palcami rozsupiał zaciśniętą na gałęzi pętlę i ściągnął sznur. Jest tego ze dwa metry — ucieszył się i oplatawszy się w pasie, zaczął przywiązywać się do grubej gałęzi. Mocno zaciśnął na supel końce powrózka i poczuł się bardziej bezpieczny. Zziębnięty i zobejtniały siedział na konarze, wdychając mroźne powietrze. Wokół panowała cisza przerywana tylko dochodzącym z oddali szczekaniem folwarcznych psów i cichym powarkiwaniem siedzących pod wierzbą wilków.

Ociężałe powieki zamknęły się, Dionizy zasnął. We śnie przesuwają mu się obrazy z jego życia związane ze starym Błażem. Jest dwięcioletnim chłopcem i pasie na ugorze dworskim gęsi. Widzi, że w jego kierunku, gościńcem od Worniecka, obwieszony tobołami, z sekątkiem kijem w ręku idzie żebrak. — Pochwalony, dziadku — mówi do zbliżającego się. — Na wieki wieków — odpowiada stary i z sakwy wyjmując dla niego zeschnięty obwarzanek.

To znów — jest roslim parobkiem i orze przy gościńcu pańską ziemię. Drogą wlecze się stary Błaż. Przechodząc mówi: „Boże pomagaj”. Dionizy zatrzymuje konie, a dziad opowiada, jak to kiedyś, za cara, w pułku kirasjerów proporszczykiem był. — Dawne to były czasy — mówi — a dziś cóż, samotny i stary jestem jak zeschnięty badyl.

Dionizy ocknął się, pomyślał o dręczących go majakach i przypomniał sobie, jak w ubiegłym roku przybiegł do dworu Walenty, opowiadając, że za zagajnikiem obwiesił się na wierzbie stary Błaż. Pobiegła tam cała czeladź, pobiegł i Dionizy z nimi. Zbliżając się do wierzby ujrzeli wiszącego Błażę. „Odciać go, odciać” — wołali mężczyźni. Wtedy Dionizy wspiał się na wierzbę i swym kozikiem przeciął powrozek. Trup wisielca, jak ciężki wór, spadł na ziemię. Fornal Maciej zdjął mu sznur z szyi, a Walenty pociął go na kawałki, rozdając zgromadzonemu na szczęście. — Dajcie i mnie — upomniął się Dionizy. — Kiedy już nie mam — rzekł Walenty. — Zresztą młody jesteś, to wdrap się na wierzbę i weź cały kawał. Dionizy ze złością machnął ręką i powiedział: — Obejdę się i bez tego, przecież to tylko zabobon.

Na drugi dzień, w skrzyni zbitej z nieheblowanych desek, zawieźli z Walentym zwłoki wisielca do Wizny i pochowali w asyście policjanta w rogu cmentarza, na miejscu przeznaczonym dla samobójców.

Dionizy, odrętwiały i zmarznięty, znów drzemał jak ptak na drzewie, trzymając się z całej siły gałęzi. Nagle — ocknął się, słysząc turkot nadjeżdżającego wozu. — Ktoś jedzie — pomyślał i zauważył, że jest już wczesny ranek. Przez zaciśnięte gardło wydał ochrypły krzyk: — Ratunku! — Potem, coraz głośniejsz, kilkakrotnie jeszcze zawołał: — Ludzie, ratunku!!

Przy wierzbie zatrzymała się furmanka zaprzężona w dwa konie. Dionizy dobiegł przerażony głos Macieja: — Wszelki duch Pana Boga chwali, a któż to siedzi na drzewie. — Macieju — to ja, Dionizy — odpowiedział z wierzby i zemdlał, utrzymując się na drzewie jedynie dzięki sznurowi. Maciej i towarzyszący mu Walenty zaczęli go cucić i, odwiązawszy, pomogli zejść na ziemię. — Co ty na tej wierzbie robiłeś? — zapytał Walenty. — Siedziałem całą noc, a pod drzewem czekały na mnie wilki. — Przecież tu nie ma żadnych wilków — rzekł Walenty. — Teraz nie ma, ale były — odpowiedział Maciej, pokazując na leżący rower z poszarpanymi oponami i pogryzioną skórą siodełka.

Po dojściu do siebie Dionizy podniósł rower. Obejrzał go dokładnie, zawiesił na ramie złożony postronek i prowadząc pojazd powłókł się na zdrętwiałych nogach w kierunku dworu.



RYS. LESZEK FREY WITKOWSKI

Szybkość zwiększyła się, lecz równocześnie rower, skacząc po zamarzniętych grudach i wyjeżdżonych koleinach grobli, zaczął mocno podskakiwać trzęsąc niemiłosiernie. Nie ma co przyspieszać, trzeba zwolnić — szepnął.

Zorientował się, że za kilka minut dojedzie do zagajnika. Nagle idealną ciszę późnego wieczoru zakłócił dochodzący z Kalinówki tęskny głos ligawki. To Popławski gra adwentowe melodie — pomyślał Zuk i z zaciekawieniem przysłuchiwał się rzewnemu zawodzeni.

Grajek brał kilka krótkich akordów, następnie przechodził do dłuższych i kończył długą żalną nutą, która, płynąc w przestworzach, rozchodziła się nad bagnami zarośniętymi krzakami i rzadką brzezina. Przestał. Gdy zaczął na nowo, wilki wtórowały mu tragicznie smutnymi głosami, skarzając się na swoją dolę.

Dionizy zeszytywniał, a czoło jego pokryły zimne krople potu. Jak ja przejadę przez zagajnik — pomyślał, wyrażając swą wolę, by zmusić nogi do posłuszeństwa. Sparali-

się, bo wilki co raz zmieniały pozycje, kręcąc się wokół roweru. Rozpoczął liczenie od początku, lecz znowu mylił się, nie mogąc ustalić, czy jest ich osiem czy siedem. Ostrożnie, poprawiając się między gałęziami zauważył, że największy basior z gromady nie interesuje się rowerem, lecz siedząc pod wierzbą wpatruje się w niego świecącymi ślipami.

Dionizygo przeniknął ostry dreszcz, pociemniało mu ze strachu w oczach i wydało mu się, że ostre kły bestii wbijają mu się boleśnie w udo. Spojrzał w dół. Basior dalej siedział pod wierzbą, a od leżącego roweru co chwilę odchodził kolejny wilk i przyłączał się do warującego.

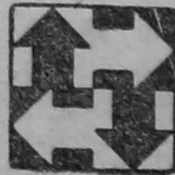
Czekają bestie aż spadnę im prosto w paszczę — pomyślał, i zaczął się modlić. Odrętwiał ze strachu usta szepotały: „Zdrowaś Mario, Zdrowaś Mario, Zdrowaś Mario”. Z wielkim wysiłkiem chciał przypomnieć sobie dalszy ciąg modlitwy, lecz w jego głowie panowała absolutna pustka.

Splunął ze złością w dół i spostrzegł, że wilki kołem otoczyły

chwilę pod wierzbą rozpoczęło się chóralne mormorando.

— Mruczenie przekłete bestie — wyszeptał zbiegającymi wargami Zuk. Poczuł, że uda zdrętwiały mu od siedzenia na sekątku konarze. Muszę koniecznie wygodniej usiąść — pomyślał. Lewą ręką mocniej uchwycił się wystającego sęka, a prawą macał dookoła, szukając grubszej gałęzi. No, nareszcie mam — ucieszył się, przyspinając do siebie gałąź. Nagle namacał palcami zwisający kawałek grubego sznura. Przez głowę przeleciała mu krótka jak błyskawica myśl: no tak, przecież to wierzba, na której powiesił się stary Błaż. Włosy pod barankową czapką stanęły dęba, a ręka trzymająca sznur stała się lepka od potu. — Matko Boska — wyszeptał — na dół wilki, a na drzewie, razem ze mną, duch wisielca.

Przed oczami zjawiał się mu — jak żywy — obraz żebraka Błażeja. Obwieszony sakwami, z długą ryżą brodą i sekątkiem kosturem w ręku, przyglądał mu się z szyderczą miną i szeptał do Dionizygo synimi wargami: „Widzisz bratku, wódkę pijesz, po nocach się włóczysz i z





Któż by nie znał w gubernialnym mieście Łomży krawca Meira Rotmana? Wszyscy go musieli znać, bo to był jedyny artysta od nicowania wszelkiej garderoby. A nosiło się wtedy ubrania z dobrej angielskiej wełny przez całe dziesiątki lat; gdy się już wyświeciły, wytarły lub zrobiły się za ciasne, szło się do Rotmana na Woźniowską ulicę.

Martwili się tylko ludzie, co będzie, gdy stary Rotman umrze. Miał on wprawdzie syna, jedynaka, ale wysłał go do Warszawy, do sławnego mistrza Figowego, który miał wielką firmę „Apollo” na Świętokrzyskiej ulicy i kształcił na mistrzów wiele zdolnej czeladzi.

Od tego czasu Rotman pracował sam. Podupadł na zdrowiu i czekał na powrót jedynaka, żeby mu swój warsztat przekazać. Słał do syna listy i wezwania, ale Moryc jakoś się nie spieszył. Wreszcie znalazł na niego sposób: dał znać, że ma dobrze schowany kapitał: kilka tysięcy rubli. Jeśli Moryc nie wróci na czas — fortuna przepadnie.

Więc wrócił, ale całkiem inny. Obciął pejsy, nie nosił w domu mycki, ubierał się nowomodnie, palił papierosy nawet w szabas i nie zaglądał do bożnicy. Matka ostrzegała, że go ojciec wyklnie i wydziedziczy. Moryc ustąpił: przebrał się w stary chałat, włożył na głowę jarmulkę i przyczaił do czasu, aż mu stary wreszcie wyda swój skarb.

Z miejsca jął organizować „interes”. Wynajął duże mieszkanie — nie na „Żydach”, ale na Pocztowym Placu, kupił maszyny i meble, w tym wielkie tremo i urządził tam nie zwyczajny warsztat, lecz „Salon”. Kazał namalować na wielkim blaszanym szyldzie: „Warszawski Salon Mody, Maurycy Rotman”.

Tam też zamieszkał, zatrudnił kilku czeladzi i sprowadził z Warszawy żonę. To była kolejna niespodzianka. Zjechała dama niebrzydka, modnie ubrana; peruki, oczywiście, nie nosiła. Otworzyła w tym samym domu pracownię damskich kapeluszy. Nowa „warszawska” firma z punktu zwała miejscową klientelę. Interes rozwijał się szybko.

Ale przed starym ojcem musieli wszystko kryć. Tylko jak? Co dzień pchali się tu starzy klienci z nicowaniem i przyjaciół, których nie sposób było zmusić do milczenia. Stary Rotman dowiedział się prawdy, nawymyślał i sobie jednej nocy, nad ranem, zwyczajnie umarł.

Syn zajął się natychmiast pogrzebem. Już przed południem zawieźli nieboszczyka na kirkut i pogrzebali — wedle obrządku — z płaczkami. Taki pośpiech bardzo się cenił i Moryca za to pochwalili. Ale nie dał się namówić na odprawienie pokuty: modlitwa w bożnicy, post przez cały miesiąc i lament na grobie ojca? Staroświeckie przesady? W całym żydowskim świecie wybuchło oburzenie; nawet katolicy uważali, że nieboszczykowi należy się to, co mu jego wiara przyznała.

Sprawa już szła w zapomnienie, gdy w „Salonie” młodego Rotmana zdarzyła się dziwna rzecz. Kiedy Moryc wstał rano i przeszedł z mieszkania do pracowni, był powymować z szafy i porozkładać na stołach robotę dla czeladzi, z przerażeniem zobaczył, że najdroższy i już prawie gotowy surdut dla mecenasa Kokoszki został pocięty w drobniutkie paseczki od kołnierza aż do dołu. Przysiadł z wrażeń na stołku. Kto to mógł zrobić? Kiedy? Po co? Przesiewał przez ręce zwal czarnych wstążeczek, zdumiewał się nienaganą precyzją cięć i nonsensem takiej pracowitości. Przecież to musiało trwać kilka godzin! Kto tu chodził po nocy, robił szkodę, i to tak, że niczego nie usłyszał. Pomyslał o policji, ale się powstrzymał. Cóż to pomoże, śladów żadnych nie znajdują, zwał na niego, że się upił i sam narozrabiał. Polecał plotki po mieście, wystraszył się klientela — to będzie drogo kosztować.

Schowal pocięty surdut do worka, porozkładał na stołach inne roboty. Brak surduta wyjaśnił krótko: wziął go do poprawki. Po śniadaniu Moryc wyszedł do miasta, nabył kupon angielskiego sukna, a wieczorem zamknął się sam w pracowni, kroił, fastrygował i szyl nowy surdut. Poszedł spać już po północy, sprawdzwszy wpierw wszystkie zamki. Dla pewności pozbierał jeszcze nożyce do torby i wsunął ją pod swoje łóżko, a zasypiając — obmyślał plan wykrycia i ukarania szkodnika. Wiedział, że to któryś z czeladzi. Znal z własnego doświadczenia złośliwe figle i psoty, jakie chłopcy innym wyprawiają. Ale za jego czasów nie robiło się nigdy szkody! Widać już są gorsze obyczaje.

Tej nocy spał źle; żona rano nie mogła go obudzić. Zaspany, zły, powłócił się do pracowni, jak zwykle — otworzył szafę i co ujrz? Nowy surdut pocięty tak samo. Strach chwycił go za gardło, narobił takiego krzyku, że i żona podniosła lament. To otrzeźwiło Moryca. Krzyknął ostro i usiłował schować do szafy pocięty surdut. Nie zdążył i musiał o wszystkim jej opowiedzieć. Znowu pobiegł do miasta po nowy kupon materiału. Na szczęście szkodnik ciał tylko wierzch, podszewki ani klejonki nie tknął. Jak to on robił?

Obliczył sobie Moryc, że jeśli w nocy posiedzi, to w niedziele może oddać mecenasowi surdut i nie się nie wyda. Robota szła szybko, więc pod wieczór wpadli oboje na pomysł, żeby pójść na Woźniowską, do mamy, na szabasową wieczernę. Mama się ucieszyła, zapaliła świecznik, częstowała dzieci rybka i rosółem z kury, resztką pejsachówki, która jeszcze została po ojcu. Nie omieszkała jednak wytknąć synowi, że tak ukrzywdził ojca, odmawiając mu odprawienia pokuty. Puścił to mimo uszu.

Wrócili do siebie w dobrych humorach, najedzeni do syta, rozgrzani mocną wódką, zadowoleni z siebie i ze świata. Moryc od razu przeszedł do pracowni, aby wykończyć wreszcie ten pechowy surdut.

Obudził się o szarym świecie, przy stole, nad robotą. Na kolanach miał surdut — pocięty tak samo, jak tamte: w drobne, równiutkie paski. A przecież nie wypuszczał go z rąk! Trzymał jeszcze nawleczoną igłę. Moryc już nie krzyczał. Pojął, że to nie szkodnik, tylko złośliwy szatan zadomowił się w jego salonie. Pewno żył od lat, kiedy jeszcze mieszkali tu goje, i został, bo Moryc nie przybił u drzwi przykazań. Za wszelką cenę trzeba diabła stąd wypędzić.

Mógł to zrobić tylko bardzo uczony w Piśmie mędrzec: rebe Menachim. Wysłał żonę do matki — jej łatwiej będzie uprosić starca o pomoc. Czekając na wynik Moryc siedział na stołku półżywy. Bronił się przed wiarą w szatana. Gdy żona wreszcie wróciła z pomyślną wiadomością, ubrał się, jak na taką wizytę przystało, nie zapominając o myce pod kapeluszem.

Mędrzec uważnie obejrzał pocięte ubrania i kręcił głową z podziwem: — Jaka robota, jaka piękna robota!

— Rebe, ty na diabła sposobu szukaj, rzuć te lachy.

Ale mędrzec tylko pokiwał głową i spytał: — Ojca pochowałeś niedawno?

— Pochowałem. Jak należy, po żydowsku.

— A pokutę odprawiles?

Moryc przemilczał pytanie. Czuł, do czego zmierza ten sary. A Menachim już atakował ostro i nieprzyjaźnie: — Dlaczego nie dasz zmarłemu spokoju?

Morycowi serce podjeżdżało do gardła. Stary podniósł się ze stołka i wyciągniętą ręką celował w pochyloną głowę: — W tobie siedzi diabeł, w tobie! To nie szatan, to twój własny ojciec przychodzi nocą, o pokutę się upomina! Kto tak potrafi sukno ciąć? Tylko twój biedny ojciec. A ty chcesz go z domu wypędzić? Czarny dzień dla ciebie, grzeszniku! Idź precz!

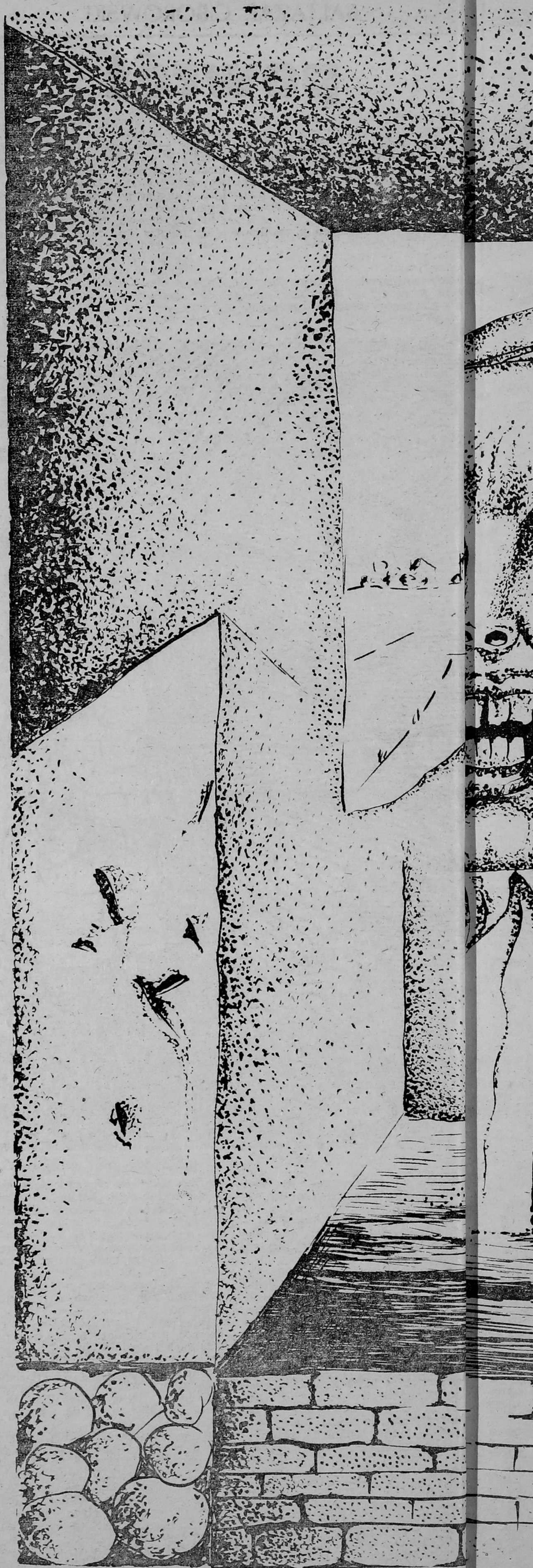
Biegli we troje klusem. Matka i żona czeptały się rękawów Moryca: — Zrób pokutę, zrób pokutę! — A w nim łamało się wszystko, choć jeszcze się nie poddawał. Zgarnął w domu resztę gotówki i pojechał zaraz do Warszawy. Wiedział, że u Figowego znajdzie gotowy surdut; miał go znać. Kupi i odda klientowi, sam już tego nie będzie nawet próbował.

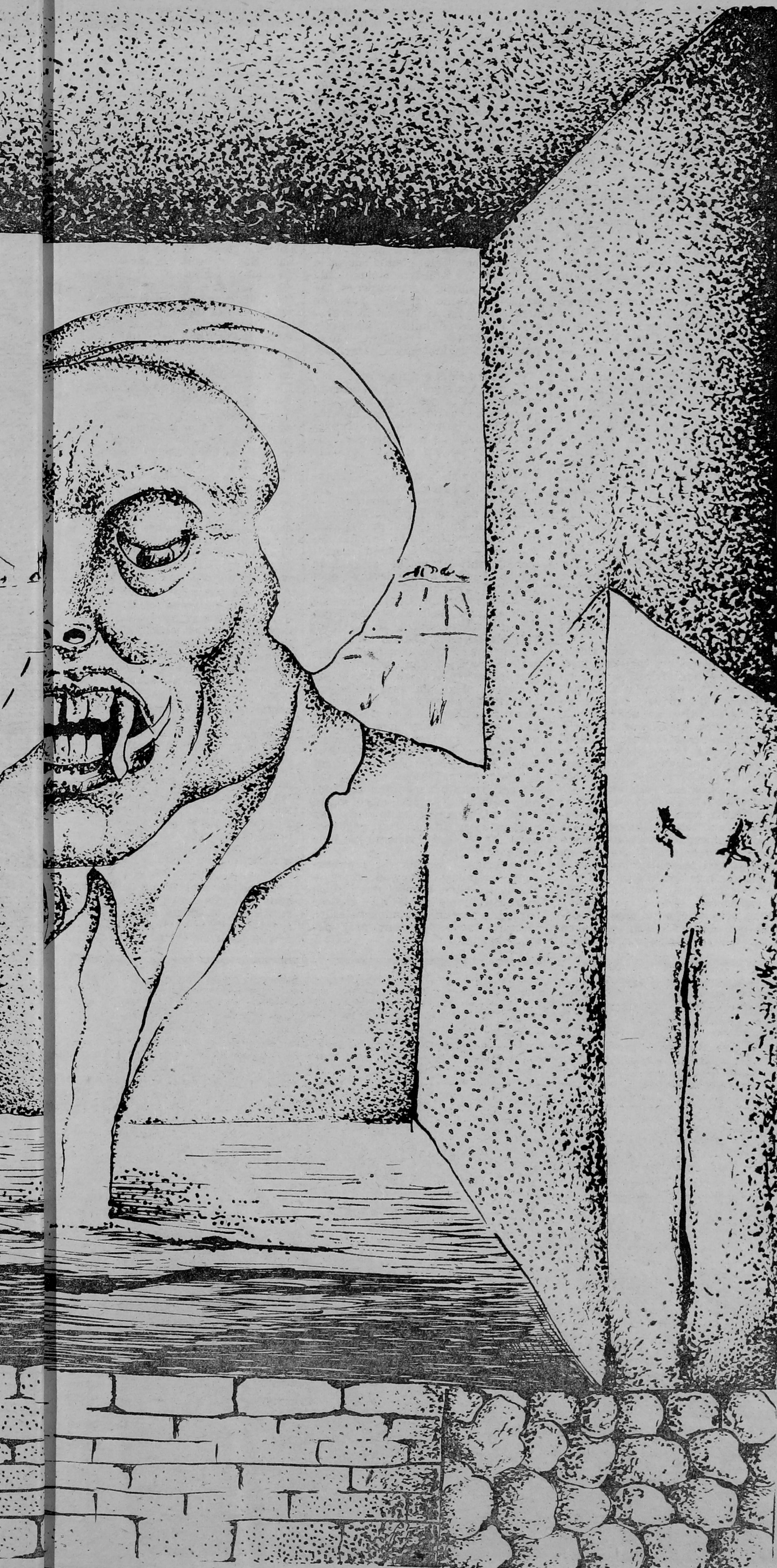
Dwie noce był w drodze, ale załatwił wszystko, jak zamierzał. Surdut zaniósł od razu mecenasowi, bał się z nim wchodzić do domu. Mieszkanie stało puste. Żona widocznie była już w sklepie, przy kapeluszach. Przeszedł do pustej pracowni, otworzył szafę, żeby się do roboty i struchlał: wszystko, co tam jeszcze zostało, wisiało w strzępach. Ani jednej sztuki nie zostawił! Ani jednej! Spojrzał odruchowo poza siebie. Piękne, kosztowne tremo pękło przez całą wysokość.

Osunął się na kolana i płakał bezgłośnie: — Oj, tato, tatele, mój biedny tatele!

I nigdy już nie więcej nie wydusiła z niego żona. Zwyczajnie — rozum się w nim pomieszał.

rys. JERZY DASZKIEWICZ





WŁADYSŁAWA
BURAK

sen

9

KONTAKTY
2 | 1983

Na podbój świata wyruszam okrętem skleconym z materiału kruchego jak lyko. Na spotkanie przyszłości zaczarowanej w weselny kołacz, pełen kuszących obietnic.

Lecz z nagłą zaczyna się dziać coś niesamowitego. Ziemia drży i pęka, łamiąc horyzonty. Pokracznie wykrzywione spychają mnie do ścieku u stóp granitowego masywu.

Wbrew wszelkim zasadom fizyki moja łódź pnie się w górę do kryształowych źródeł. Wprost pod uchwyty robota ze stali.

Zgrzyt. Trzask. Wirujące plamy. Straceniu w nicość towarzyszy rozpacz po ocknięciu się w plugawej cieczy.

A więc stało się. Przyszło nieznane, nie mające nic wspólnego z tamtym wyczekiwaniem od lat.

Za wessanymi w błoto zębami powiększyło się grono rozbitków wśród odłamków skał, zatopionych statków.

Na prośbę dziewczyny, ubranej w szkarłatną suknię, bronię jej sprawy przed dygnitarzem Trzeciej Rzeszy. Muszą mnie wysłuchać ze względu na znajomość formułki sniedzenia ozdobnych przedmiotów.

Raptem, pod wpływem strachu, dziewczyna wyrzeka się swych praw, cofa pełnomocnictwo.

Wybuchy rac przynaglają do ucieczki. W zamieszaniu umykam niepostrzeżenie na zewnątrz. Tam szaro i smutno.

Z prawej strony żołdacy wypychają do jamy olbrzyma z wykręconymi do tyłu, oplatanymi kołczastym drutem, przegubami rąk. Przysypują go ziemią, a on szamocze się i woła o litość. W jego głosie, rozszczepionym na skargę, potępienie i podzwonne, w końcu zetraca się poszczególny sens słów.

Pod nikłą warstwą gleby widać kontury ciała stracenia: zarys głowy z wklęsłościami oczodołów, ustami, nosem. Piersi jak miechy ze strasliwym wysiłkiem unoszą się i opadają, starając się pochwycić trochę powietrza. Grunt w tym miejscu wciąż porusza się, przywołując na myśl ciągle od początku, w obłędnym rytmie powtarzający się obraz, odtwarzany na powielaczu pamięci z najdrobniejszymi szczegółami.

Och, jak duszno na widok męki żywcem pogrzebanego!

Jeszcze nie za późno na ratunek, jeszcze nie zastygło ocementowanie...

— Pozwólcie mu żyć, chociażby w tajemnicy przed waszym światem! — krzyczę.

— Nie wolno! — brzmi lakoniczna odpowiedź.

Czy wszyscy świadkowie zbrodni ponoszą winę za brak jakiegokolwiek szansy na ratunek ofiary?

Kieruję swe kroki gdzie indziej, w miarę ograniczonych możliwości poruszania się. Łatwo o wybór, gdy nie ma wyboru.

Przedemną zaporą. Pomiędzy nią a laskiem — wąska ścieżka. Prowadzi w kierunku przeciwnym od pochylonych nad żywym trupem sępów.

Za zakrętem wylaniają się z zasadzki i przecinają dalszą drogę żołnierze. Hen na wschodzie luna zwiastuje ich porażki, a zwycięstwo, dotąd lekceważonych, przeciwników.

Można jeszcze ukryć się w zaroślach, gdzie po spalonych i rozsypanych ludzkich szczątkach pozostała nikła warstewka popiołu i kredy. Ale i tam słychać idiotyczny rechot: — Uha ha ha! Ona łązi po zaminiowanych terenach!

Zawracam. Z dziką energią dążę do sforsowania wysokiej bariery. Wpijam się w każdą szparę i chropowatość, obłamany do krwi, paznokciami rąk i nóg. Cał po cał podciągam się w górę. Przez ułamek sekundy, uciepiona muru jak kleszcz, nieruchomieję, a może, tracąc siły i oparcie, obsuwam się w dół? Tamci tylko na to czyhają. Obok i pod stopami ze świstem przecina powietrze arkan. Przyśpiesza okropną wspinaczkę.

Wreszcie jestem po drugiej stronie. Pogodnie tu i świeżo wśród bujnej, soczystej zieleni.

I znów, wraz z pościgiem, rozpoczyna się piekielne rozpasanie. Wszy-

DOKONCZENIE NA STR. 10



DOKOŃCZENIE ZE STR. 9

stko drze w strzępy i wywraca na nice huraganowy ogień kul, min, bomb. Głębokie leje, napelnione wodą, kolyszą się od eksplozji. W chmurze zimnego pyłu jak motyl pofrunął do nieba pień wiekowego drzewa. Z korzeniami i koroną. Znikł bez śladu. Nie pozostało po nim nawet drzazgi.

Biegając wciąż przed siebie kryje się za załamaniem gruntu. Za mną podąża przyjaciółka w balowych pantofelkach na wysokich obcasach. Krzyczę głośno, żeby mogła usłyszeć: — Zdejmij koturny, one nie pasują do tej ziemi świętej!

Wreszcie zamarzy odgłosy działań wojennych.

Koleżanka odchodzi. Zostaje sama. Raczej — jesteśmy razem: mój nieodłączny cień w cieniu osamotnienia.

Potem na ciężarówkach i czołgach sunie nasze wojsko, a za nim tłumy ludzi zdrowych i kalek, starców i dzieci, mężczyzn i kobiet, spieszących do ziemi wolnej, obiecanej...

WOJCIECH SOBOL

w petli

Myszę, że nie byłoby tej całej sprawy, gdybym nie zaczął pisać opowiadania. Anna i tak twierdziła, że od dawna poświęcam jej stanowczo za mało czasu. Toteż kiedy dowiedziała się, że i ten weekend mam zamiar spędzić na wymyślaniu niedorzecznych, jej zdaniem, historii, postanowiła zrobić mi na złość i wyjechać z Robertem za miasto. Miał on domek nad jeziorem, gdzie często zapraszał znajomych. Uczestniczyłem w tych sobotnio-niedzielnym wypadach nieraz, zabierając ze sobą Annę. Towarzystwo bywało u Roberta wesołe, a czas przyjemnie płynął. Tym razem Anna wybierała się beze mnie. Nie przejmowałem się tym, wiedząc, że jest to kolejna próba zagrania na moich uczuciach. Po każdej demonstracji niezależności Anna wracała do mnie skruszona i grzeczna, a ja miałem na jakiś czas spokój, aż do następnej sprzeczki. Myślałem, że podobnie zakończy się i ta historia. Gdybym wiedział, że może dojść do tego, do czego doszło, pewnie posłuchałbym Anny.

* * *

Szosa prowadząca przez las nie należała do najlepszych, ale Robert prowadził samochód pewnie i szybko. Był dobrym kierowcą. Obok siedziała zamyślona Anna. Drzewa migały za szybami, znad jezior podnosiły się mgły, szybko zapadał

zmierzch. Robert włączył reflektory. — Nie lubię tej drogi — przerwała milczenie Anna — jest jakaś dzika, ponura i przynębiająca.

— Przygnębiająca i niebezpieczna — zgodził się Robert. — Na tym odcinku zdarzają się często różne dziwne wypadki: znikają ludzie i samochody, niczym w Trójkacie Bermudzkim.

— Powiedz jeszcze, że grasują wampiry i wilkołaki, a każe ci zawrócić do miasta — odezwała się ironicznie Anna.

— Oczywiście, że grasują — roześmiał się Robert. — Ale przy mnie nic ci nie grozi — dodał.

— Nie jestem taka pewna — powiedziała Anna. Robert nie odpowiedział. Musiał zwiększyć czujność, gdyż gęstniejąca mgła utrudniała widoczność. W pewnej chwili gwałtownie zwolnił. W świetle reflektorów pojawił się zając i biegł przed samochodem.

— I co, nie mówię? — Ucieszył się Robert. — Patrz, wilkołak.

— Tylko go nie przejeżdż! — krzyknęła Anna.

— Nie ma obawy. No, zmykaj, zajączku. — Robert wyłączył na moment reflektory. Zając skoczył w las. Ruszyli dalej. Po chwili Robert skręcił na przydrożny parking.

— Muszę rozprostować kości — oświadczył. — A ty nie masz ochoty?

— Powodzenia — odpowiedziała — ja poczekam w samochodzie.

Robert wysiadł i ruszył powoli w głąb parkingu. Rozprostował parę razy ramiona, zrobił kilka skłonów i wszedł między zarośla. Anna odchyliła głowę, opierając ją o fotel. Włączyła radio, zapaliła papierosa. Powrót Roberta przedłużał się. Przysmknęła oczy i słuchała muzyki. W pewnej chwili usłyszała pukanie w tylną szybę samochodu.

— Nie strasz mnie i tak się nie boję — powiedziała nie otwierając oczu. Pukanie powtórzyło się. Zirytowana Anna wyprostowała głowę.

— Zobaczmy, kto jest bardziej dowcipny — pozamykała drzwi od wewnątrz samochodu. Usłyszała pukanie w dach i dziwny śmiech, po czym męska sylwetka ukazała się jej w świetle reflektorów. Zobaczyła straszną, wykrzywioną w obłędnym uśmiechu, twarz, zbliżającą się do szyby. Mężczyzna zaglądający do samochodu przyglądał się jej obłąkanym wzrokiem. Później, stojąc w świetle reflektorów, wyciągnął przed siebie ręce. Ujrzała zakrwawioną głowę Roberta, którą tamten położył na masce samochodu. Śmiejąc się dziko przebiegł na drugą stronę szosy i zniknął w lesie. Anna przycisnęła ręce do ust i zaczęła histerycznie krzyczeć, wreszcie straciła przytomność.

Rano odnaleziono stojący na poboczu samochód z ludzką głową na masce. Kilkanaście metrów dalej leżały zmasakrowane zwłoki Roberta, a w samochodzie — damska torebka należąca do Anny. Ta tymczasem spała spokojnie w swoim mieszkaniu. Prowadzącemu śledztwo nie potrafiła wytłumaczyć, w jaki sposób przebyła drogę od miejsca zbrodni do miasta. Wszelkie inne jej wyjaśnienia dotyczące morderstwa uznano za nieudolną próbę przerzucenia własnej winy na tajemniczego zabójcę. Została oskarżona o morderstwo z premedytacją. Stała przed sądem. Był to typowy proces poszlakowy, ponieważ nie odnaleziono narzędzia zbrodni, a Anna nie przyznawała się do winy.

Z przerażeniem patrzyłem, jak akcja opowiadania wymyka mi się z rąk i rozwija wbrew mojej woli, a wymyślone przeze mnie postacie zaczynają żyć własnym życiem. Cała sprawa posunęła się stanowczo za daleko — Annie groziło poważne niebezpieczeństwo. Musiałem wkroczyć i wyjaśnić kulisy tajemniczego morderstwa. Stanąłem zatem przed (wymagowanym przez siebie) sądem.

— Proszę się nie tłumaczyć!

Po zaprzysiężeniu i wstępnych wyjaśnieniach oświadczyłem: — Wysoki Sądzie, oskarżona jest niewinna. Faktem jest, że w krytycznym dniu znalazła się na miejscu zbrodni, ale też faktem jest, że jej nie popełniła.

— Sąd prosi świadka o przedstawienie konkretnych dowodów, a nie o wygłaszanie mowy obrończej — przerwał mi sucho przewodniczący.

— Postaram się je przedstawić możliwie najdokładniej — odpowiedziałem. — Dwa dni przed popełnieniem zbrodni, uciekłem z zakładu dla obłąkanych niebezpieczny pacjent, który wyobrażał sobie, że jest błędnym rycerzem. Udało mu się zdobyć stary bagnet. W jaki sposób, nie wiem; myślę, że wyjaśni to śledztwo. Z bagnetem tym, będącym — w jego mniemaniu — mieczem sprawiedliwości, zaczął się na przydrożnym parkingu i czekał na „wrogów”. Jego pierwszą ofiarą był Robert. Morderca zadał mu cios w plecy, a następnie odciął głowę, którą „złożył w ofierze” na masce samochodu. Po dokonaniu tego udał się do lasu po przeciwnej stronie szosy. Przedzierając się przez krzaki zgubił bagnet, który wysunął mu się zza paska od spodni. Po południu, w dniu wykrycia morderstwa, został schwytany i odstawiony do miejsca swego dotychczasowego pobytu. Myślę, że dzięki temu nie było następnych ofiar.

— Zeznania świadka są interesujące — zauważył przewodniczący — ale do tej pory, mimo energicznych poszukiwań, nie udało się znaleźć narzędzia zbrodni. Świadek twierdzi, że morderstwa dokonano przy pomocy bagnetu?

— Jestem tego pewien — odpowiedziałem. — A nie odnaleziono go dlatego, że szukano w niewłaściwym miejscu. Należy szukać w odległości około trzystu metrów od miejsca przestępstwa, po drugiej stronie szosy.

— Ciekawe... — zamyślił się sędzia i dodał: — Ciekawe, skąd świadek to wszystko wie?

— To proste — odpowiedziałem — jestem przecież autorem tego opowiadania.

— Mam na ten temat odmienne zdanie — powiedział sędzia. — Głównie jestem zgodzić się z twierdzeniem świadka, że oskarżona jest niewinna. Nie mogę natomiast u-

wierzyć w to, że morderca jest psychicznie chory. Morderca jest wśród nas! Na tej sali! Morderca jest świadkiem, a właściwie już oskarżonym.

— Jak to? — zaprotestowałem. — Czy pan przewodniczący podejrzewa mnie o tę zbrodnię?

— Oczywiście — odpowiedział sędzia. — Przyszła... — szukał przez chwilę właściwego określenia — nie zaprzeczaj pan, że jest autorem tego opowiadania?

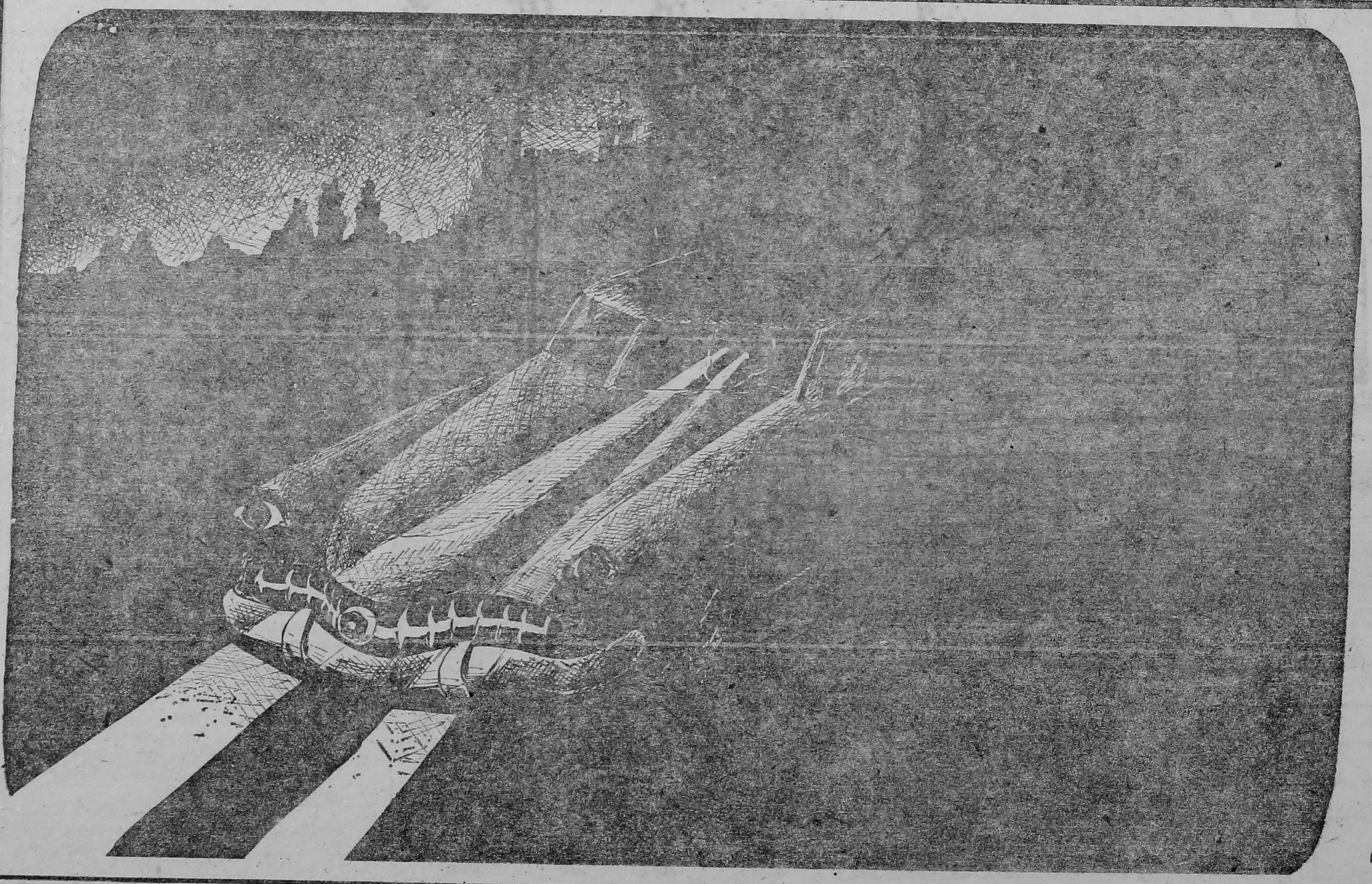
— Nie mam nawet takiego zamiaru — powiedziałem.

— A zatem — rozpoczął swoją przemowę przewodniczący — przyznaje się pan do uknuć całej intrygi, do świadomego zaplanowania zbrodni? Kto w końcu, jak nie autor — podniósł głos — ma być odpowiedzialny za bohaterów, których stworzył? Kto, jak nie on, czyni jednych zbrodniarzami, a innych ofiarami swojej fantazji? W imię czego, pytam? W imię taniego poklasku i korzyści materialnych! — grzmiał dalej. Próbowałem protestować, ale nie dopuścił mnie do głosu.

— Dość już tego! — krzyknął. — Nie można zezwalać na to, aby każdy, kto tylko zechce, mógł popełniać przestępstwa, choćby na kartach książki! Za planowanie zbrodni z premedytacją i popełnienie jej musi oskarżony — użył po raz drugi tego słowa — ponieść surową karę!

Na wniosek sędziego zostałem aresztowany już w gmachu sądu. Teraz siedzę w pojedynczej celi i czekam na rozprawę. W śledztwie udzielam wstrzemięźliwych odpowiedzi. Wymyśliłem sobie dwóch najlepszych obrońców. W końcu jako autor opowiadania mogę sobie na ten luksus pozwolić. W ogóle jestem dobrej myśli. Mam nadzieję, że z tej skomplikowanej sprawy wyiosę cało głowę. A petla, którą sobie nieopatrznie przygotowałem, nie zaciśnie się na mojej szyi. Chyba że...

Chyba że prowadzący śledztwo odnajdą moją nową powieść katastroficzną, w której miasta płoną, świat nawiedzają trzęsienia ziemi, a trup ściele się gęsto.



RYS. GRZEGORZ KACZMAREK
III nagroda w konkursie plastycznym



MAREK OBARSKI

barania mogiła

ym Bosnowku. Nad przerażoną trzódka unosi się czarnosierstny tryk o ognistych rogach...

Obecny wikary, ksiądz Giełza, zauważył, że w przeddzień Zaduszek złuszczony przez wieki, wyblakły obraz odnawia się, nabiera żywych barw i wygląda świeżo, tak jakby ledwie wczoraj położono farbę. Podobno wiejski malarz Grzegorz Wzdrega utonął w trzęsawisku, zanim „Owce orszak” dobiegł do końca.

Rokrocznie owce ruszają na cmentarz. Białoruny orszak powraca do zagrod po pierwszym pianiu kura. Po pewnym czasie okazuje się, że zwierzęta są kotne. Wieśniacy z niepokojem czekają na owce narodzone. Lękają się, czy jakaś owca nie powije czarnego jagniętka, bo jeśli się tak stanie, marny los gospodarza.

Garbata Jamiola, czarownica z bagien, miała ongiś w przededniu Zaduszek błędny sen, w którym ukazał się jej czarnosierstny tryk z cmentarza. Rogate widziadło oznajmiło śniarce, że będzie kryć okoliczne owce — aż do sądnego dnia. Zażądało też, by nikt nie ważył się iść na stary żalnik za owczym orszakiem. Śmiałka, gdyby się taki znalazł wśród tchórzliwych wieśniaków, spotka okrutna kara. Czarnosierstny baran spali wzrok zuchwalca ognistym płomieniem z samego dna piekła. Pobekując chrapliwie bies wyjawiał garbusie jeszcze jedną tajemnicę...

Z runa jagniąt spłodzonych przez tryka z cmentarza wróżyć można o losach gospodarzy, których owce pokrył czarny baran. Jeśli kotna owca porodzi jagnię o runie skudłonym, czarnym jak węgiel, gospodarz umrze w ciągu roku. Za to jeśli powity baranek posiada wełnę białą, niczym prószy śnieg, nawet chory gospodarz wydobrzeje i przeżyje w zdrowiu cały rok. A jeśli owca

wróci z Baraniej Mogiły nie tknięta, jakowa, z pewnością ogień strawi obejście.

Przepowiednie z jagnięcego runa sprawdzają się do tej pory. Zeszłej wiosny kotna owca z owczarni Kalcetów porodziła czarne jagniętko o skudłonej sierści, które po paru godzinach wyzionęło ducha. Niedługo po złowróżnym połogu nie dowierzający przepowiedni gospodarz zginął pod kołami rozjeżdżonej ciężarówki. Chłopom żal barczystego sąsiada, choć spodziewali się śmierci niedowiarka. Gwarząc o zmarłym Kalcetach dęborski gospodarz wdychają z ulgą. Ich owce zrodziły tego roku śnieżnobiałe jagnięta. Żaden z gospodarzy nie umrze do następnej Wielkanocy.

Obyczaj pędzenia owiec na Baranią Mogiłę przetrwa długo jeszcze. Dopóki bagienne mgły spowijają niczym biały całun walące się chłupy w moroszkowym jarze, dopóki o zaduszkowym zmierzchu rozlega się chrapliwe beczenie rogatego widziadła. Rokrocznie o zaduszkowym zmierzchu wieśniacy będą gnać strwożoną trzódkę na cmentarz dopóty, dopóki nie znajdzie się śmiałek, który zawróci owczy orszak z Baraniej Mogiły.

Gasiarka Osowa, wypasająca siodlate „dyziulki” na wybujałym mokrzu pod lasem, odgadła, że zamierzam pójść na stary żalnik, i kończąc swą opowieść o czarnosierstnym tryku, zasyczała uragaliwie niczym skrzydłach, strzyga cmentarna: — Nie wychodź z całupy o zaduszkowym zmierzchu, na Boga! Niech ci to wywietrzeje z głowy, zuchwalcze! Jeśli nie posłuchasz przestrogi, czarny baran pobodzie ciebie ogni-

stym! rogami i zwęgli na kamień twój żywy wzrok! Gdybyś wbrew ostrzeżeniu podążył za owcami na cmentarz, straciłbyś do cna rozum, tak jak Głupi Stach, zwany Żabim Królem, który odkał wrócił z Baraniej Mogiły, całe dni spędza na trzęsawisku łowiąc żaby i szukając narzeczonej wśród rechoczącego tałajstwa.

A jednak nie posłuchałem rady struchy. W przeddzień Zaduszek zszylem kościanym szydłem kilka wyleniałych skór owczych, by na jutro przylączyć się po kryjomu do orszaku podążającego ze strachliwym beczaniem na cmentarz.

Jak zwykle — roscohała mgła zmierzwiła się niczym brzoza gęstwina. Widziałem ledwie na wyciągnięcie ręki, choć wyteżałem sokoli wzrok. Nie zobaczyłem wędrującej trzódki, ale usłyszałem pobekiwanie zwierząt. Wyczołgałem się z krzaków tarni i — odziany w baranicę — podążyłem za orszakiem, udając marudzącą owcę. Za bramą cmentarną zwierzęta zbiły się w bojaźliwą gromadkę. Wszystko zasnuła mgła gęsta jak wiklina. Poruszał się po omacku, na oślep. W białej mgłę znikły krzyże i nagrobki. Nie widziałem nic w gestniejącym mroku. Czulem tylko owczy zapach. Macałem ręką owce karki i dygocące ledźwie stłoczonych zwierząt, ale zestrachane owce otaczały mnie ciasno niczym wełnistą cembrowina białorunej studni. Śmiertelnie przerażony przywarłem do rozmięklej ziemi. Gdy rozległo się chrapliwe beczenie tryka i z mogiły pod spróchniałym dębem wyłoniło się rogate widziadło, zatrzęsłem się jak osieczyna. Nie mogłem po-

wstrzymać drżenia rąk i nóg. Gniołem w skulonych pięściach mokre grudy, wydzierałem z błota darnię i kamienie — aż zważyłem strach. Podczołgałem się bliżej, żeby nie pominąć nic z tego, co rozgrywało się na Baraniej Mogiły, gdzie czarnosierstny tryk krył dygocące z lęku owce.

W pewnej chwili błyskawica rozświetliła ciemny cmentarz. Dostrzegłem w rozproszonym na moment, węglanej ciemności i wieczornej już mgłę skudłony łeb i ogniste rogi widziadła. Przerażony zdiawiłem krzyk, ale czarnosierstny tryk zwał się moją obecność. Beknął chrapliwie i ruszył w stronę mogiły, na której się skuliłem, by skryć za nagrobkiem. Kiedy upiorny baran nachylił skudłony łeb i poczał bóg na pół odlupane skrzydła kamiennego anioła, podźwignąłem się z mokrzy i odpełziłem pomiędzy groby...

Zdawało mi się, że z każdej mogiły podnoszą się ku mnie długie, szponiaste ręce, by opleść moje ciało kościstym całunem i pociągnąć w otchłań pośmiertną. Rogate widziadło bodło nagrobki i zmuszało krzyże becząc chrapliwie w piekielnym gniewie. Strach pomógł mi przeskoczyć mur cmentarny. Pognałem jak wicher przez jesienne zapole.

Nazajutrz kościelny znalazł wśród mogił moje owce przebranie. Stara gasiarka powiedziała mi, że na baranicę odkryto wypalone dziury i osmalenia, tak jakby ktoś bódł owce runo ognistymi rogami. Starucha zmruczyła lisie oczy i uśmiechnęła się chytrze, ale nie przyznała mi się, że byłam na cmentarzu.

Od owych Zaduszek i wycieczki na Baranią Mogiłę odczuwałem tajemnicze bóle wokół skroni i na potylicy, a także dziwne swędzenie w opuszkach palców. Dolegliwości ustąpiły nagle, gdy — pchnięty niewidzialną siłą — wstałem ze skotłowanej pościeli pewnej bezsennej nocy i chwyciłem ołówek, by opisać swą zuchwałą wędrowkę na Baranią Mogiłę.

Choć minęło już dwanaście lat od tamtego wieczoru, czasem śni mi się moroszkowy jar. Wydaje mi się, że śnię, że słyszę chrapliwe beczenie czarnosierstnego tryka. Rankiem po przebudzeniu odnajduję na poszewce poduszki wypalone ślady ognistych rogów...

to musi do pierwszej napotkanej wody splunąć z prawego boku i powiedzieć: „Syśka świenci, dopomóście mi mojom babe przerobił”. Pytali się mnie też, co ja umiem robić i co robie poza jedzeniem. No to ja sie obróciłam ku nim — z przeproszeniem ik miłości — rzuciłam i robiłam bobki. To robie, mówie. A oni pozbierali te bobki i z tym odlecieli.

Nie próbuję opisać wrażeń profesora matematyki rozmawiającego z... owcą... po góralsku... na temat... przybyszów z obcej planety. Nawet wszystkie muzy nie by mi tu nie pomogły.

A swoją drogą — paradoks przedstawia być paradoksem, gdy się pomyśli, że spodkowanie (pozostałymi już przy tym bacowskim określeniu) mogli uznać owce za młodych Ziemian, a starego bace, ubranego w barani serdak wełną do góry, za starego Ziemianina. Nie przecięż o nas nie wiedzieli, podobnie jak my nie wiemy nic o wyglądzie „spodkowania”, zdarzył się więc zwykły pech, raczej by rzecz — niezmierny pech. Pominawszy więc wszystkie czysto akademickie rozważania, powiem tylko, jak się to skończyło.

Profesor powiadomił gazdę, że następnego dnia wcześniej rano wyjeżdża. Baco — na pożegnanie miłego gościa, który dobrze zapłacił za cały miesiąc, chociaż był tylko kilka dni — na wieczór upiekł duży kawał baraniny, cały udziec. Do tego postawił tzw. „zegnowackę”, czyli płaską flaszkę jakiejś wódki. Ofiarował też profesorowi różne „redykołki” z serca, także parę oscypków.

Przy kolacji profesor poprosił: — Baco, sprzedajcie mi Murcatę. Dobrze zapłacić.

— A dy ją jemy! Moge sprzedać jesce połówkę, a reszta mnie tu potrzebna.

— Zabiliście Murcatę? Dlaczego? — A bo najtłuszczej. Kciołek wos dobrze ugościł. A tyz dlatego, że ona za duzo godała. Powinna sie nazywać Pyskato, a nie Murcata. Jo nie lubie godania!



RYS. EWA BENDZIECHA

— W jaki sposób nauczyli ją mówić?

— Nosompiertw te spodkowane obmacali mój serdak barani, com go miol na sobie, a potem sie mnie pytali, cy te owce to moje male. No to mówie, ze jedne som moje, a inne inksyk górali. No to oni ułapili jednom owce, właśnie te Murcatom, i omotali tymi rurkami mnie i Murcatom, a drugie końce rurek sobie przilożyli do gardła. Tum sie kapke zdziwił, ale nie bardzo, bo Murcata zacena zaraz mówić jak i jo, po góralsku.

— No i co było potem?

— Eee, zapytojcie o to Murcatom. Bo jak ino te spodkowane obyrtnele sie na maleńkom kwile, to jo przecionem sieć kozikiem i w uciekaca. Tyle mnie widzieli. Wróciłem tu dopiero na świętego Michała, żeby kiertel do Chochołowa odprowadzić. Spodkowan wtedy juz tu nie było.

Baca odszedł ku koszorowi, a profesor — po dłuższej chwili wahania — podszedł do Murcatej, przykucał obok i zaczął jej się przyglądać.

— Pokfalony — rzekła Murcata. Ceguj?

— Tttt... mmmówisz?!

— Mówie. A bo co?

— Kto cię nauczył?

— Spodkowane.

— Jakim sposobem?

— A bo jo wiem? Robili mi cosik na gardle i zacena mówić, co wiem.

— Co ci mówili te... te... spodkowane?

— Oni sie jedno pytali, co jem, jako zyje mi różne takie. No to im rzeke, ze jem trowe, kwiaty, bars rada jem kwiaty kozłowca, bo sie od niego w głowie nie mąci nad przepasciami; jem byle co, mnie ta duzo nie trza. Pytali sie tyz, cy bym jadła spodkowan. No to mówie, ze nie, bo to nie jadło. W zimie jem siano. A od maja baco wyprowadzo redyk na hole i tu sie pasiemy aze do świętego Michała. Na holi każda owca dobiera sobie kolezeństwo, pasiemy sie pyscek przy pysku i do spanio układamy sie obok siebie. Pytali sie me tyz o różne obycaje bacy. No to im rzeke to i owo. Ze watra w salasie musi sie palić bez cale talowisko, ze jeno plonemu gazdzie ognia z watry sie nie pożyco, bo by sie salas spoel. Nie wolno patyków lomać na kolanie, boby owce nogi lomały. Bacowi nie wolno podchodzić ku dziewczkom jeno do świętego Jona, a od świętego Jona dopiero juhasom. Baco jak zaś przyjdzie od baby, to go juhasi kropiom źródłaną wodą, coby odegnać złe, ftore mogło sie na nim w hole przywlec. Zonaty baco, cliwie bez baby, to go casem puscajom, ale pod wyrunkiem, ze jak będzie wracoi,

MARIAN SARAMA

spotkowania

cygarmetryke. No to im powiedziolek, ze mom ino fajke i tabak w pacharzynie, a cygar ni mom. Potem oni mnie sie pytajom, jak jo rakiety puscom. No to im mówie, ze zodnych rakiet nie puscom, roz ino pusciłem rakiete do stodoly stryjny, aze sie spoliła do imentu, bo mi beskurcyjo stryjna ziemi przycynić nie kciała. Bez to mnie do hareštu zaparli.

— Ależ to nadzwyczajne, gazdo, co opowiadacie! O co was jeszcze pytali?

— Jo śnimi nie kcioł ukwalować. Taki jakisik spodkowan nie bedzie nad gazdą wierchowac! No to im rzeke, co by se pogwarzyli z moimi stryskami (co sie po ślachecku mówi — owce), bo jednako zbzyrac jak kłapace (dzwonki) owiec. Jo ta nie barsrod mówie, bom jest stary, to mi sie gembu pomału ruso. Wtedy sie oni wzieni do owcy i śniom godali.

— Z owcą rozmawiali? Co też powiadacie.

— Prowde mówie. Godali ze stryską, o, z tom, co tam na brzyzku stoi, wołomy na niom Murcata, bo ma takie carne krapki na pysku.

— A jakże owca mogła mówić?

— Bo jom te spodkowane nauczyli mówić.

— Owce nauczyli mówić? — A cóz sie tak dziwicie? Owca tyz stworzenie boskie, nauczyć sie moze. A moja Murcata jest mądro, aj mądro. Ona zawdy jest u mnie za przodkule, znacy sie — kiertel prowadzi i bez cale lato mo pierseństwo.



ZBIGNIEW
ATEMBORSKI

dowód

Wkrótce po ważnym w życiu całego kraju wydarzeniu jeden z urzędników wysoko postawionych w naszej gminnej hierarchii odkrył pod drzwiami swej urzędowej willi wielką, domarzającą Kupę. Lotem błyskawicy pomknęła sensacyjna wiadomość: „Podobno pod drzwiami tego (tu zwykle padało nazwisko urzędnika) leży Kupa, ogromna, ogromnie przepiękna!” Ale co to jest Kupa, o co tu chodzi, co się za tym kryje? Pytających zbywano tylko jakimś dziwnym i tajemniczym uśmiechem.

Kończyli właśnie z Mańkowskim węgorka z octu i raczyli się domową nalewką, kiedy i do nas dotarła wiadomość, która wstrząsnęła gminą. W tej samej chwili, z uśmiechem na ustach, wzniosłem toast: „Za poczucie humoru w narodzie, które nie zginęło”.

Niestety, nie był to koniec, lecz początek zdarzeń. Od tego dnia codziennie rano Kupę odkrywano to tu, to tam, w różnych częściach ogrodu urzędnika, raz za krzakami agrestu, innym razem w porzeczkach. Kiedyś nawet znaleziono ją w altanie. Nie pomagały środki chemiczne, wywożenie, betonowanie, silosowanie — Kupa przenosiła się z miejsca na miejsce i, o zgrozo, z dnia na dzień wydawała się większa.

Sprawa była nie tylko cuchnąca i kłopotliwa; nabierała rozgłosu, robiła się wojewódzka, ogólnokrajowa. Nie zdziwiliśmy się więc, kiedy pewnego dnia zobaczyliśmy na płotach plakaty, zapowiadające przyjazd znanego nam z telewizji członka pewnej Akademii i prelekcję na temat FOSI. Jak nas później poinformowano, był to skrót. Pełna nazwa brzmiała: Forma Oznaczona Symbolem I.

Kiedy akademik Kupałowski sprężystym krokiem wszedł do sali, nagle powitały go oklaski. Popatrzyliśmy po sobie ze zdziwieniem i pytaniem w oczach: „Który to pierwszy zaczął?” Docent doktor (profesor) przedstawił się krótko, wyjaśnił powód swojej tu obecności, a następnie przeszedł do wyjaśnienia, jak się wyraził, samej istoty zjawiska.

Była już porządna noc, kiedy wszedłem przez kuta bramę — pogrążony w ciemności — cmentarz. Znałem drogę, byłem na tym pogrzebie dzisiejszego dnia. Ba! Znałem przecież tę dziewczynę. To była ta piękna blondyna z rzucającą się w oczy urodą — dumna i nieprzystępna. Kilka dni temu wybiegła z autobusu wprost pod nadjeżdżający samochód. „Cześć jej pamięci” — pomyślałem, skre-

RYS. EWA BENDZIECHA

— Szanowni Państwo! Sprawa tylko z pozoru jest, że tak powiem, banalna. Zjawisko badaliśmy stosując najnowszą aparaturę badawczą, i z całą stanowczością musimy stwierdzić, iż jest to Kupa nieludzka. Chciałem, oczywiście, powiedzieć: niewiadomego pochodzenia. Co więcej! Skłonni jesteśmy przypuszczać, iż jest to zjawisko z serii tych, które wciąż jeszcze pozostają dla nas niepoznawalne. Prosiłbym teraz o maksymalną uwagę, gdyż mam zamiar przedstawić tu Państwu nasz naukowy pogląd na tę sprawę. Otóż Forma, o której mowa i którą oznaczam symbolem II, czyli owa Kupa (jak ją zdążyli już nazwać mieszkańcy tych okolic), to tylko pewna część, że tak powiem, Kupy Obiektywnej, jaką udaje się nam poznać i doświadczać. Wiemy już, że Kupę można rozłożyć na części, lecz wówczas przestaje ona być tym, czym jest właściwie. Można powiedzieć paradoksalnie: dowolna właściwość jakiejś Kupy staje się obserwowalna tylko dlatego, że Kupa jako całość tę akurat właściwość traci. Wiemy także, iż każda Kupa wytwarza w każdym innym czasie równoważną jej i jest w niej, że się tak wyrażę, „rozumiana”. A zatem Kupa jest tylko to, co wytwarza Kupa, Kupa jest tylko to, co jest rozumiane. I w tej właśnie mierze rozumienia jest częściową proces samoporuszania się. Każda zaś Forma scharakteryzowana jest, jak

wiadomo, przez pewną liczbę przesuwalnych w czasie alternatyw. Jeżeli ja mogę znać samego siebie i znajomość tę wyrażać w rozstrzygnięciu alternatyw, wówczas trzeba przyjąć, iż ja sam stanowią część świata, który jest ogółem takich alternatyw. Jednakowoż — zaś wszelkich alternatyw oznaczałaby wobec tego, że każda Kupa ma w zasadzie naturę wiedzy wiedzącej siebie. Jawi się więc nam ona jako samoporuszająca, jako Kupa-twórca, jako podatna wiedzy, wiedza zaś — jako Kupa. No cóż, mógłbym w tym miejscu dodać jeszcze, że w świecie Kup również Antykupa może się ukształtować tylko zgodnie z Kupą. Wszystko jednak w przypadku naszej Kupy jest o wiele bardziej skomplikowane. Obserwujemy jej zewnętrzne przejawy w postaci różnych niemiłych dla wzroku i wachu właściwości, lecz nie możemy przy ich pomocy zobaczyć właściwie, w jaki sposób Kupa jest zbudowana i czym jest naprawdę. Na podstawie więc całokształtu tych właściwości stworzyliśmy sobie, powtarzam raz jeszcze, stworzyliśmy sobie pewien jej obraz, który niczemu w rzeczywistości nie odpowiada. Czy więc nie należałoby stworzyć sobie, aby być w zgodzie z naszą dzisiejszą wiedzą, innego obrazu Kupy, który również doprowadzałby do tych samych obserwowanych właściwości? Twierdzimy, że tak! No cóż, aby sprawy nie przeciągać w

nieskończoność, dodam tylko, że forma nie byłaby formą w formie obiektywnej, gdyby nie była związana z nią wzajemnym oddziaływaniem, a to ostatnie nie wynika, jak wiemy, z właściwości form, ale z właściwości formy obiektywnej. A więc to nie one tworzą w niej prawa; istnieją, bo czynią im zadość. Stąd wniosek: Kupa Obiektywna i Oddziaływanie są tymi samymi zjawiskami. W takim jednak razie nie ma już, ściśle biorąc, żadnych Kup, tylko oddziaływanie?

Twarz Pryszczatego, który pojawił się na sali razem z akademikem Kupałowskim, rozbił się nagle jakimś odbitym światłem: — A więc możemy stwierdzić, że Kupa nie istnieje, a przynajmniej należałoby stworzyć sobie inny jej obraz.

Trudno opisać zamęt, jaki zapanał w naszych głowach, szczególnie po wypowiedzi Pryszczatego, gdyż nikt chyba nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, takiego zakończenia: jak może czegoś nie być, gdy jest, i jak zobaczyć w tym nagle coś więcej, niż jest?! Kilka dni później Kupa, równie nagle, jak się pojawiła, zniknęła z ogrodu urzędnika, a razem z nią — urzędnik. A może raczej Kupa z urzędnikiem?

Sprężystym krokiem po alejkach ogrodu otaczającego urzędową willę przechadzał się nowy naczelnik gminy wraz z małżonką.

HALINA OLSZEWSKA

monolog hieny

cając w alejkę, wzdłuż której rosły stare, wysokie drzewa. Przypomniałem sobie, że przechodzę gdzieś koło tego miejsca, które sprawdzałem

przedwczoraj. Nie mogę zapomnieć tej zmiażdżonej twarzy... Rozmyślając o sobie i swoim dziwnym przyzwyczajeniu — zbliżałem się do

końca alejki, gdzie w świetle wylazającego zza chmur księżycza zobaczyłem stos wieńców z czystymi jeszcze szarfami i świeżymi kwiatami. Po chwili usiadłem na krawędzi sąsiedniego grobu. Zawsze najpierw odpoczywam, palę, ustawię sobie światło latarki i dopiero potem...

Kończyłem papierosa. „Najdroższej Renate — ostatnie pożegnanie — Heniek” — przeczytałem czarny napis na białej szarfie. Zdjąłem ostrożnie wieńiec leżący najwyżej, zwinąłem szarfę: zadrżały świeże goździki. Zwykle odczytuję wszystkie napisy na szarfach — bawi mnie to. Zgaduję wtedy, jak rozpaczta taki Henio po stracie Renatki. Albo wyobrażam sobie „nieutulony” rodziców.

Dzisiaj nie miałem czasu na bajorę, musiałem ostro brać się do roboty. Najtrudniej jest zawsze wyrwać krzyż. I tym razem wychodził ciężko z czerwonej gliny. Wziąłem latarkę i poszedłem pod parkan, bo już od dawna wiem, że właśnie tam leżą łopaty.

Zawsze odczuwam lekki niepokój, kiedy zdejmuję warstwę ziemi przykrywającą wieko trumny. Myślę, że tak czują się poszukiwacze złota albo odkrywcy skarbow. Gdy uniosłem je już, sam się zdziwiłem, że ta cała Renatka taka piękna i nie mniej elegancka niż za życia: włosy od fryzjera, niebieska sukienka, piękne, drogie buty...

Śmieszni są ci ludzie. Często mi się trafia zegarek, a na co komu w grobie dokładny czas? Ten był na dodatek elektroniczny. „Teraz w zakładki zajrzemy” — pomyślałem wyciągając kombinierki, bo niezbędne przyrządy zawsze mam przy sobie. Tym razem były dwa. Przy okazji zauważyłem złote kolczyki, ukryte wśród jasných loków.

Niekiedy sporo czasu poświęcam tym dziewczynom. Muszą być jed-

RYS. BEATA SIKORSKA

DOKOŃCZENIE NA STR. 13



— Co ty tam robisz?
— Leżę.
— Gdzie?
— Obok desek.
— A co to tak brzęczy?
— Muchy.
— Muchy?
— Brzęczą nad moim gnatem.
— Na długo to starczy?
— Na dwa dni, nie dłużej.
— A potem? Może ciachnąć teraz?
— Jak chcesz. Żeby się tylko nie zepsuło.

— Podosuszmy na słońcu. Przez kilka dni powinna być ładna pogoda.
— No to ciachaj.
— Od kolana czy wyżej?
— Wystarczy od.
— Ostatnia.
— Żal ci?
— Nie bardzo.

Włączona piła prawie natychmiast nabrała pełnych obrotów. Jej przejmujący jęk nieprzyjemnie rozdarł ciszę niedzielnej popołudnia. Podstawiłem nogę. Kość zachrobotała pod zębami pokonując opór ciętego kolana. Krew buchnęła z rany, zalewając część blatu. Ucięty kawałek spadł miękko na ziemię. Wyłączyłem piłę, wytarłem blat i powoli osunąłem się na trociny.

— Weź ją, wymocz.
— A ty?
— Trochę mnie to zmęczyło.
— To daj.
— Leży.
— Gdzie?
— Po twojej stronie.
— Dlaczego nie zdjąłeś buta?
— Po co? I tak już niepotrzebny.
— I całkiem porządna skarpetka, aż szkoda wyrzucić.

— Och, przestań.
— Słuchaj, ale ona śmierdzi.
— Śmierdzi? Co śmierdzi?
— Noga.
— To ją umyj.
— I taką śmierdzącą będziemy jeść?

— Jak umyjesz, nie będzie śmierdzieć.
— Czemu nie umyłeś przedtem?
— Co za różnica.
— Jest różnica. Trzeba ją umyć teraz.

— No to ją umyj.
— Czym? Przecież nie mam rąk.
— Ale tylko do łokci.
— Myślisz, że samymi łokciami można coś zrobić?

— Nie trzeba było wtedy tak żreć, toby ci chociaż jedna została. Zresztą nie musisz jej myć, wystarczy, jak wrzucisz do wiadra, żeby wymokła. Potem ją pokawałkuję.
— Pokawałkować to i ja mogę.
— Czym?

— Zębami. Mam dosyć ostre.
— Oczywiście, Zżarłbyś przy tym połowę.

— A ty nie zżarłeś mego?
— To było co innego: w imię sprawiedliwego podziału.
— Cicho, ktoś chyba tutaj idzie.
— Idzie.
— Kto?
— Chłopię. Blondynek, lat około czterech.
— No?
— Bierzemy, jasne.
— Na co?

DOKOŃCZENIE ZE STR. 12

nak superładne i młode. Lubię twarde, gładkie ciała i tę uległość — nie spotykam u żywych.
Światło, kiedy — syty wrażeń i z pokątnym tobołem — spojrzalem jeszcze raz na równo ułożone wieńce i nieco krzywo wbity krzyż. Umyłem ręce pod cmentarnym kranem i już naprawdę musiałem spieszyć się do pracy.

*

W biurze siedziałem naprzeciw pani Danki. Bardzo się lubiliśmy.
— Co, panie Bolu, za dużo się piło wczoraj? Oczka czerwone, cerka zmięta.
— Co robić, pani Danko, kolega zza granicy przyjechał, to trzeba było.

— Przywiózł coś?
— Tak, trochę ciuchów, złoto.
— Może znalazłoby się coś dla mnie? Pan zawsze takie fajne rzeczy od niego przynosi.
— Bo ja wiem? Mam tam jakąś niebieską suknię, buty włoskie na szpilce...
— Biorę, panie Bolu; jeśli tak tanio jak zawsze, to biorę! Przynieś mi pan jutro?
— Przyniosę.

— Chyba na samolot.
— Polną dróżką, biegnącą tuż przy naszej stolarni, siedl dzieciak. Pleć można było ustalić właściwie tylko po ubiorze. Biała czapeczka, jasno-żółta koszulka, tego samego koloru spodni, białe elastyczne skarpetki, brązowe sandaiki. Opalony, pulchniutki, aż miło.

— Z kościółka idziesz, Kaziu?
— Nie jestem Kaziu.
— A jak cię wołają?
— Cio?
— Wołają. No, jak masz na imię?
— Ry... Rysio. A cio to?

— Samolot. Chcesz polatać? Wujcio ci pokaże.
— Ty nie umiesz, nie jesteś pilotem. Piloci mają wszystkie nogi.

— Ale wujcio jest pilotem. On ma nogi, że ho, ho! Pokaż mu, jakie masz nogi. O, widzisz mały?

— Eee... ale on nie ma ręków, a piloci majom.

— Nie ma tylko do łokci, zresztą pilotom niepotrzebne są ręce.

zmniejszyła obroty i zawyla basem, jak gdyby nuciła requiem.

— Nieźle poszło.
— No.
— Sprawdź, jak tam z nogami.
— Odpieprz się. Mnie to nie przeszkadza.

Oczywiście, że to ci nie przeszkadza. Tamtej dziewczynie, cośmy ją upolowali na wiosnę, zjadłeś...

— Pilnuj swego nosa. Idź po wodę, a ja zrobię z małym porządek.
— Dobra, nie musisz się drzeć.

Rozebrałem oba kawałki, a później wybebeszyłem. Były mięciutkie i tłusciutkie. W nagłym przypływie głodu odgryzłem malcowi jedno uszko. Było cudowne.

— Przyniosłem wodę!

— Fajnie, wrzuć to i dobrze wypłucz.

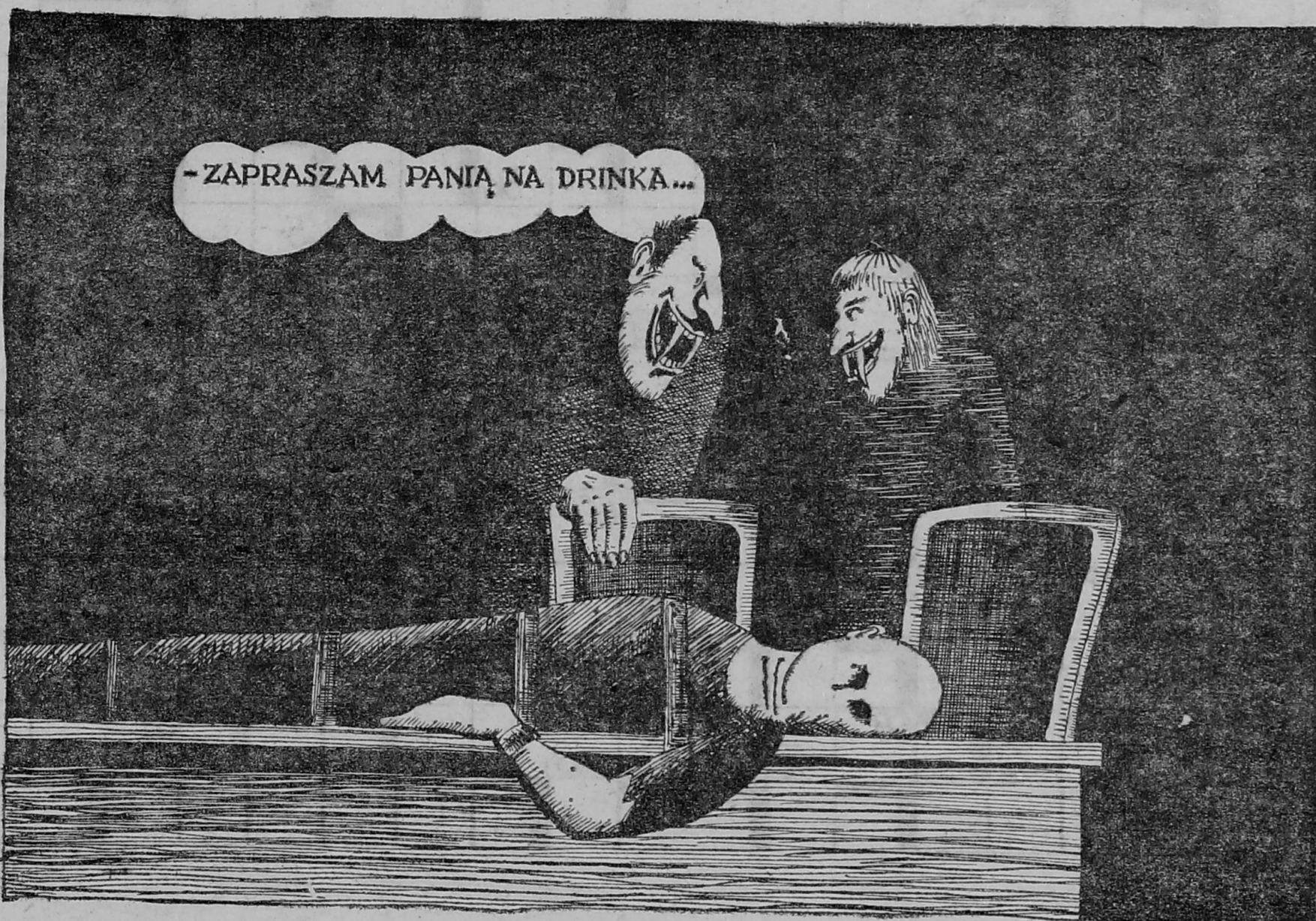
— O! Widzę, że już tu czegoś brakuje. Dla mnie drugie, cholerny żarłoku.

JACEK SAWASZKIEWICZ

niedzielne popołudnie

— To czym kierujom?
— Kochane dziecko! Wujcio ci zaraz pokaże. No, pokażę, chłopak aż się pali. O, tak! Trzeba się grzecznie położyć i wyciągnąć nóżki, he,

— A żryj. Ale wpierw wypłucz chłopaka.
— O rany, razem z twoim giczem mamy żarcia na miesiąc.
— Tylko że co miesiąc Pan Bóg



RYS. MIROSLAW NOWAK

he! Może szczeniakowi ściągniemy najpierw ubranie?

— Lepiej nie. Jeszcze podniesie wrzask. Ale nogi można by mu umyć. Na wszelki wypadek.

— Nie bądź idiota, bierz się do roboty, chłopiec chce polatać.

— Jak ciachamy? Wzdłuż czy wszczesz?

— Wzdłuż.

— Pszepana, a gdzie motor?

— O tu, synku, a tu jest takie zębate śmigiełko, zaraz ci je wujek włączy i polecisz... do nieba, he, he!

Piła warknęła, szarpnęła się i z przeciągłym jękiem weszła na pełne obroty. Przerażony malec próbował uciekać, cofając się rakiem po blacie, ale zatrzymaliśmy go w porę. Żeby tarczy zerwały białą czapkę, chrupnęło i piła zagłębiła się w czaszce. Następnie przecięła żebra, a kiedy trafiła na miednicę,

nie zsyła takich aniołków.

— Nic się nie martw. Popatrz lepiej na drogę. Widzisz?

— Co?

— Jakaś starucha.

— Ile?

— Jedna.

— Pytam się, ile ma lat.

— A skąd ja mogę wiedzieć?

Chyba z osiemdziesiąt. Ledwo lezie.

— Żyłaste mięso. Pamiętasz tamtą?

— Którą?

— Tę z walekami.

— Aha, strasznie była twarda. Same gnaty.

— Ta chyba też.

— No to jak?

— Bierzemy.

— Na samolot?
— Przecież to nie malec, idioto. Dawaj pałę.

— Ciii! Jest już blisko.

— Zaczynać?

— Możesz.

— Babciu... babciu...

— A co, dobrodzieju?

— Wody...

— Chryste Panie! Co się stało?

— Nogi mi ucięło.

— Zmiłujcie się, ludzie! Kto?

— Piła, babciu, piła.

— Wody? Mój Boże kochany, zaraz panu wody przyniosę.

— Tu jest, o, tu...

— Już niosę!

— Nie, nie chcę pić. Na nogi połać.

— Na nogi? Przecież to czyste zakazanie. Woda nie przygotowana.

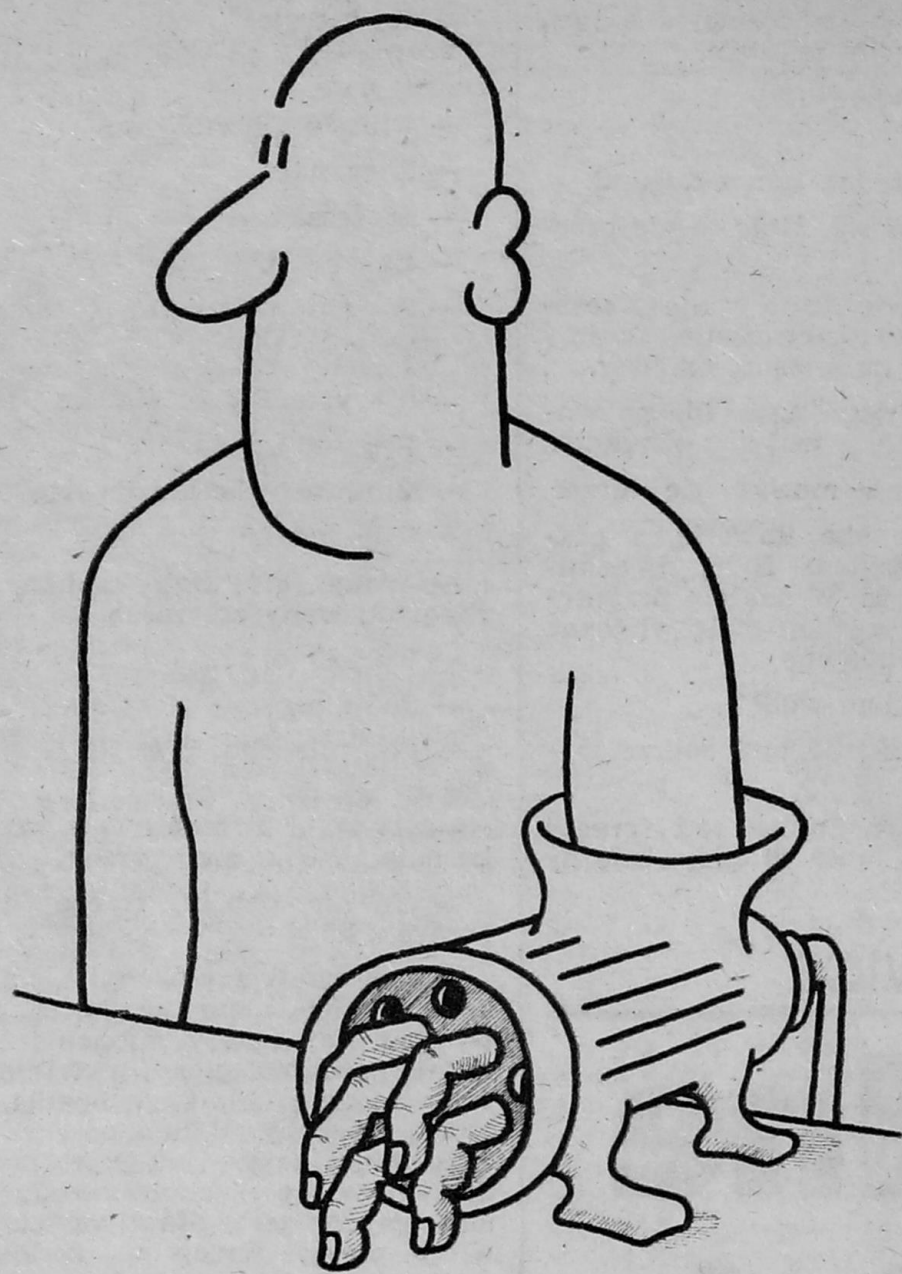
— To nie, babciu, trzeba tylko obmyć z krwi.

Babcia ukłękła i pochyliła się nade mną. Ścisnąłem w ręce pałę, wziąłem największy zamach i z całej siły zadałem cios. Powietrze zawyło i pałka z hukiem spadła na głowę staruchy. Byłem pewien, że czaszka jej pęknie jak jajko pod uderzeniem pięści, cholernie się jednak przeliczyłem. Stara nawet nie ugięła głowy, wręcz ją podniosła. Ogarnęło mnie zdumienie, a kiedy ujrzałem twarz tej kobiety, zrodził się we mnie lęk. Bo ta twarz należała do mojej rodzonej babki i jej usta wykrzykiwały szyderczy uśmiech. Porwany wściekłością zacząłem okładać ten przeklęty łeb wpierw z dziką furią i na oślep, potem metodycznie i z uwzględnieniem najwrażliwszych miejsc. Drag warczał mi w rękach, w powietrzu fruwały strzępy kłaków, krew tryskała z

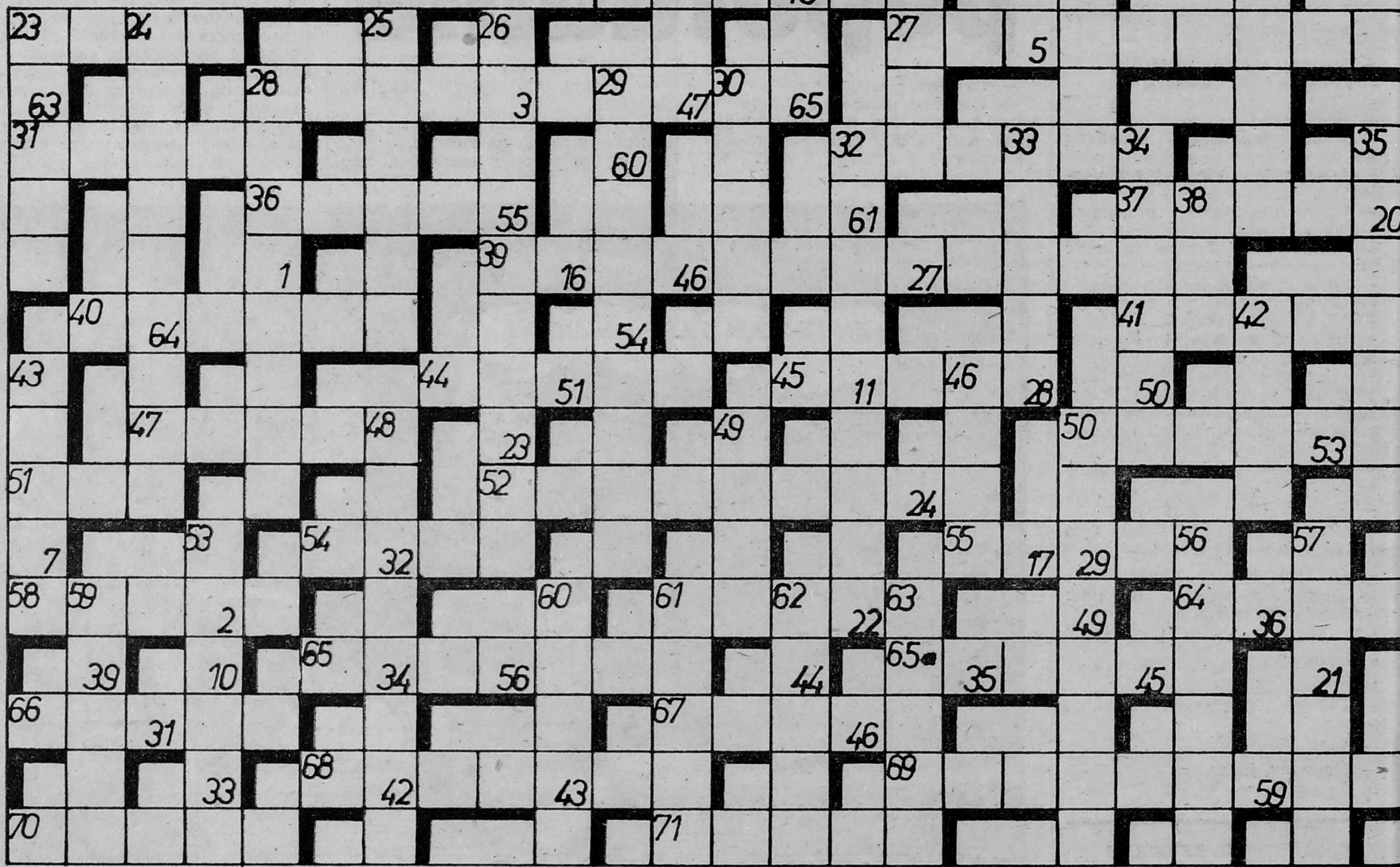
* * *

Obudziłem się spocony i przerażony. — Potwornie głupi sen — myślałem idąc do kuchni. Czulem dokuczliwe ssanie w dołku. Nic dziwnego. W końcu ostatni posiłek jadłem przedwczoraj. Była to lewanka mojej drogiej i nieodżałowanej babuni.





Rys. WALDEMAR RUKŚC



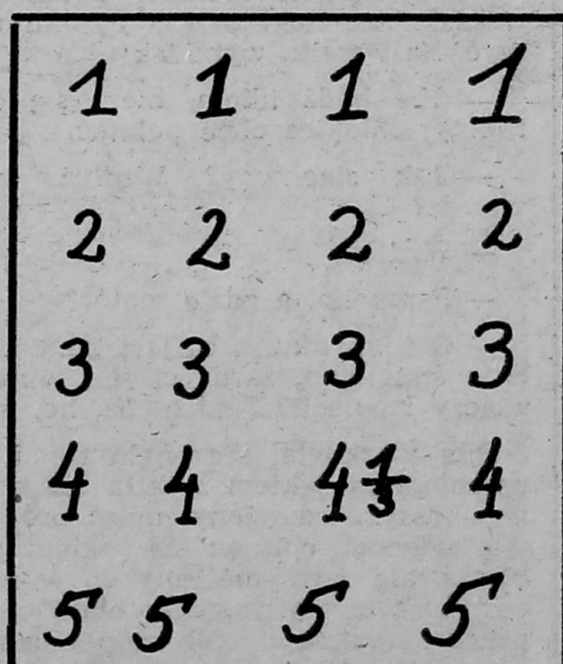
Odgadnięte wyrazy o poniższych znaczeniach należy wpisać do pól diagramu. Litery w polach ponumerowanych w prawym dolnym rogu, napisane w kolejności od 1 do 65 utworzą rozwiązanie.

POZIOMO: 1) stan w Indiach (tuz bez towarzystwa), 5) metropolia z Hradczanami, 8) kawa, której nie pił Manko Kapak, 9) mityczna założycielka Kartaginy, 10) „podstawowa” w oborze, 11) licytacja w tej grze nazywa się „rajcowaniem”, 12) w starożytnej Grecji — młodzieniec, który osiągnął pełnoletność, 13) zbieg, banita, 14) kłótnia, spór, 15) pra-lieczydło, 18) „skrótowy” pododdział wojskowy, 19) sezonowy robotnik rolny, 23) jego wypadnięcie przyczyną lumbago, 27) samodzielny fartuch z wełny, 28) klinga, ostrze broni siecznej, 31) odkładana plągiem, 32) po nici do niego, 36) metalowa listwa ułatwiająca ładowanie karabinu, 37) 0 do 0, 39) reformator zarządzania, 40) zgilek, tumult, 41) pierwiastek rodem z eks-Kujbysze- wa, 44) miasto w pld. Turcji, 45) ka-

nar, pokarm dla kanarków, 47) słyn- na bizantyjska cesarzowa przywró- ciła kult obrazów, 50) szkolny em- blemat, 51) z meza została wzięta, 52) ceremonia zawarcia małżeństwa, 54) otwór do którego wpada bila, 55) dziewczątka u Mendelejewa, 58) iskierka nadziei, 61) podnosi spraw- ność fizyczną, 64) kamień dla luto- wej solenizantki, 65) kabza, trzos, 65a) wydarzenie małej wagi, 66) „młynek” w głowie, 67) kultura sta- rożytna, 68) człowiek przeciętny, ży- jący codziennością, 69) nie zawsze dopisuje, 70) 18 garnców piwa, 71) pierwiastek promieniotwórczy.

PIONOWO: 1) historyczna kraina w pld. Hiszpanii, 2) katolickie Sto- warzyszenie Maryjne, 3) hiszpańska wyspa, lecz ta „mniejsza”, 4) do- wód, symptom, 5) dawny skotopas, 6) ozdobna przepaska na włosy dla Greczynki, 7) konkurs, zawody w starożytnej Grecji, 11) właściwe zna- czenie, 16) „łapacz” nadmuchanej kuli, 17) „do ręki” młodej panienki, 20) zapamiętałość, niepoohamowanie, 21) herbata paragwajska, 22) barwny

wzorzysty dywan, 23) inaczej wzór, 24) domowy magazyn żywności, 25) administrator majątku ziemskiego, 26) choroba pasożytnicza człowieka, glistnica, 28) potocznie nieobrobio-



RYS. ANDRZEJ HOŁOWACZ

ny klucz, 29) zdolność absorpcji organizmu, 30) „w ognie” grecki go alfabetu, 32) średniowieczny żo- nierz najemny, 33) mistrzem w n. była baron Münhausen, 34) naci- ropny, czyrak, 35) nieregularny ogi artyleryjski, 38) Prekambr, 42) spo- towa rozgrywka, 43) rybka do „g- wy”, 46) podstrunnik, 48) środki b- jowe, 49) mieszkaniac puszcząński- go dorzecza dolnej Narwi, 50) mo- loch, hołota, 53) „zamknięcie” prz- otwarcem, 56) uczucie szczęścia, pułapka bez wyjścia, 59) roślina- nawóz zielony, 60) przy przesadny ubolewaniu bywa rozdzierana, brylant jej mieć nie może a hon- tym bardziej, 62) ósemka pod batut- 63) ogół słów utrwalony graficzn- (GOLIA)

Prawidłowe hasło, wpisane na w- cięty kupon i naklejone na kart- pocztową, weźmie udział w losow- niu nagród ufundowanych pr- WSS „Społem” w Łomży — 1000- 800 zł, 2x500 zł. Rozwiązania nale- nadysłać pod adresem redakcji- terminie 10-dniowym.

Imie-
było
dopier-
kiem
stało
Gloger
dawan-
ważnie
dowod-
two in-
go, z
szły p-
dodali
większ-
cieli
przeds-
nejli
wiekot-
ników
go nar-

Nato-
Stosław-
o dzie-
pierws-
istotny
imion-
stów
same
nie tyl-
nia, al-
własno-
w całej
nujący
wania
żaden
imienio-
ław, L.
(czyli V
mystaw-
gdański

MIE-
STY-
LU-
MA-
KLI-
MA-
CZE-
LIP-
SIER-
WRA-
PAZ-
LIST-
GRU-

W
ka-

Dnia
nym p-
Łomża
Jaki to

Zadar-
Rok
„14” i
WIEKI-
cy „I B-
„18”. Z-
skrzyżo-
„18”.

Zadar-
Na ta-
nie odn-
niu lini-
„czerw-

Zadar-
Na ta-
nii „4”
lumną d-
kany dz-

Uwag-
Dla ro-
czony j-
„t. prz.”

A za-
poszuka-
czymy p-

KONTAKTY



marzec

styć

1	S	Mieczysława	Mieszka
2	N	Izydora	Strzeżysława
3	P	Danuty	Wlastymira
4	W	Grzegorza	Dobromira
5	S	Edwarda	Wlastybora
6	C	Kacpra	Bojamora
7	P	Juliana	Świętosława
8	S	Seweryna	Mścisława
9	N	Juliana	Władymira
10	P	Jana	Dobrosława
11	W	Honoraty	Kzesłmira
12	S	Benedykta	Czesławy
13	C	Weroniki	Bogumila
14	P	Feliksa	Radogosta
15	S	Pawła	Domosławy
16	N	Marcelego	Włodzimierza
17	P	Jana	Rościsława
18	W	Piotra	Jaropełka
19	S	Marty	Ratymira
20	C	Fabiana	Sebastjana
21	P	Agnieszki	Jarosława
22	S	Anastazego	Witysława
23	N	Marli	Wrocława
24	P	Felicji	Chwaliboga
25	W	Pawła	Miłosza
26	S	Pauliny	Skarbimora
27	C	Jana	Przybysława
28	P	Walerego	Radomira
29	S	Zdzisława	Zdzisława
30	N	Macleja	Dobrogniewy
31	P	Jana	Spitogniewa

lut

1	W	Brygidy	Zegota
2	S	Marli	Milosława
3	C	Błażeja	Błażeja
4	P	Józefa	Witosława
5	S	Agaty	Dobrochny
6	N	Doroty	Bohdana
7	P	Romualda	Sulisława
8	W	Jana	Gniewomira
9	S	Cyryla	Goryslawa
10	C	Jacka	Tomila
11	P	Marli	Świętochna
12	S	Juliana	Radzyna
13	N	Grzegorza	Jordana
14	P	Walentego	Niemira
15	W	Józefa	Czesławy
16	S	Danuty	Mikada
17	C	Juliana	Świętorada
18	P	Symeona	Wielosława
19	S	Konrada	Czcisława
20	N	Leona	Lubomila
21	P	Feliksa	Onosława
22	W	Marty	Wrocława
23	S	Romany	Przędzysława
24	C	Macleja	Bogusza
25	P	Wiktora	Sławobója
26	S	Mirosława	Mirosława
27	N	Wiktora	Wierosława
28	P	Romana	Chwaliboga



uzerwiec

KONTAKTY
1983

1	W	Albina	Radosława
2	S	Pawła	Sławomira
3	C	Tycjana	Pakosława
4	P	Lucji	Kazucha
5	S	Teofila	Wojysława
6	N	Róży	Bogomila
7	P	Pawła	Milogosta
8	W	Wincentego	Mierzława
9	S	Katarzyny	Bożesława
10	C	Cypriana	Ludysława
11	P	Benedykta	Swatosza
12	S	Bernarda	Mierosława
13	N	Bożeny	Bożenny
14	P	Leona	Długomira
15	W	Ludwiki	Ojcosława
16	S	Izabeli	Zdzisława
17	C	Zbigniewa	Boguchwała
18	P	Cyryla	Bohdana
19	S	Józefa	Polemira
20	N	Anatola	Błogosława
21	P	Lubomira	Godysława
22	W	Katarzyny	Zbysławy
23	S	Feliksa	Ludomili
24	C	Marka	Więcisława
25	P	Marli	Świętobója
26	S	Teodora	Bohdana
27	N	Lidli	Krzesława
28	P	Jana	Czcimysława
29	W	Wiktoryna	Żukosława
30	S	Jana	Dobromira
31	C	Balbiny	Zbigniewa

kwiecień

1	P	Grażyny	Sabomira
2	S	Urbana	Władysława
3	N	Ryszarda	Mieczysława
4	P	Wachawa	Bożywoja
5	W	Ireny	Świętobója
6	S	Wilhelma	Przesława
7	C	Donata	Radosława
8	P	Dionizego	Dobrosława
9	S	Marli	Goryslawa
10	N	Michała	Jaromira
11	P	Leona	Lubosława
12	W	Juliusza	Przemysława
13	S	Przemysława	Myślimira
14	C	Justyny	Walislawa
15	P	Bazylego	Nosława
16	S	Julii	Krasława
17	N	Roberty	Gościsława
18	P	Alicji	Włodzimierza
19	W	Leona	Czesława
20	S	Czesława	Drogomila
21	C	Feliksa	Strzeżymira
22	P	Leona	Wojciecha
23	S	Jerzego	Jerzego
24	N	Fidelisa	Jarosława
25	P	Marka	Spitymora
26	W	Marli	Bogufala
27	S	Zyty	Zawisława
28	C	Pawła	Sławogosta
29	P	Piotra	Chwalislawa
30	S	Jakuba	Lubomira

maj

1	N	Święto Pracy	Lubomira
2	P	Anatola	Witrymira
3	W	Marli	Świętosława
4	S	Moniki	Więćysława
5	C	Ireny	Chocisława
6	P	Jana	Gościsława
7	S	Ludmily	Ludomila
8	N	Wiktora	Stanisława
9	P	Grzegorza	Bożedara
10	W	Izydora	Cierpimira
11	S	Ludomira	Dobiesława
12	C	Dominika	Ludomira
13	P	Roberty	Wszemira
14	S	Justyny	Cichosława
15	N	Jana	Strzeżysława
16	P	Andrzeja	Więćysława
17	W	Weroniki	Sławomira
18	S	Eryka	Wszesława
19	C	Piotra	Krzemysła
20	P	Bazylego	Bronimira
21	S	Donata	Przesława
22	N	Julii	Wisława
23	P	Iwony	Budziwoja
24	W	Joanny	Tomira
25	S	Urbana	Boryslawa
26	C	Filipa	Więcymira
27	P	Jana	Rustawa
28	S	Urbana	Jaromila
29	N	Teodozji	Boguchwała
30	P	Feliksa	Sulimira
31	W	Anieli	Bożesława

1	S	Jakuba	Świętopełka
2	C	Erazma	Ratysława
3	P	Leszka	Brafumity
4	S	Karola	Lutomila
5	N	Walerii	Dobromila
6	P	Pauliny	Cichomita
7	W	Roberty	Wisława
8	S	Medarta	Wyszosława
9	C	Pelagii	Sławoja
10	P	Małgorzaty	Bohómila
11	S	Feliksa	Radomira
12	N	Jana	Wyszomira
13	P	Lucjana	Chytomira
14	W	Bazylego	Przedzima
15	S	Jolanty	Wita
16	C	Aliny	Budzimira
17	P	Laury	Drogomysła
18	S	Elżbiety	Długosława
19	N	Protazego	Bożysława
20	P	Bogny	Bogny
21	W	Alicji	Domysława
22	S	Pauliny	Broniwoja
23	C	Wandy	Wandy
24	P	Jana	Janislawa
25	S	Lucji	Wlastymila
26	N	Jana	Rozmysława
27	P	Marli	Władysława
28	W	Leona	Zbroisława
29	S	Piotra	Wyszomira
30	C	Lucyny	Cichosławy

W TYM ROKU:
RZUCĘ PALENIE
WZBÓGACĘ SIĘ
NIE ZDRADZĘ

ZAPISZ SIĘ
WIEJ POPRE...
ciąg dalszy
nastąpi

ZAPRENUMERUJ «KONTAKTY»
II połowę będziesz miał we właściwym
czasie

